

le prawicy, dosyć, że zupełnie co innego robią, a co innego chłopu piszą...

Używają ugodowcy najrozmaitszych sposobów, ażeby nas chłopów nie dopuścić do zorganizowania wspólnej siły chłopsko-robotniczej... Szczują chłopów na robotników, a robotników na chłopów. Lecz próżne ugodowców wysiłki. Dokładniejszy już zrozumieć, że zwycięstwo nasze razem z robotnikami, czy to w mieście czy na folwarku...

Muszę wam panowie z przerożnych kramików partyjnych śmiało powiedzieć, że nie chcemy waszych gazet, ani waszych pustych słów na wiecach, bo my chłopie jak jeden mąż stajemy w jednym szeregu chłopsko-robotniczym w N. P. Ch. z gorącą wiarą, że we wspólnej pracy, przy wspólnym wysiłku cel swój, tj. władzę, ziemię, pracę i oświatę osiągniemy...

W podobnym duchu utrzymany jest apel do chłopów i młodzieży Kazimierza Siudzińskiego ze wsi Brzeziny, pow. Kozłowski („Niezależny Chłop”, nr 22 z 1926 r.):

„Bracia chłopie i robotnicy, walczyliśmy o wolną Polskę, wierząc że w niej będziemy mogli żyć lepiej, a tu po siedmiu latach tej wolności coraz gorzej i nam się dzieje. Tysiące robotników pozostaje bez pracy i chleba, chłopie cierpi niedostatek i ciężary olbrzymie ponoszą. A tu stronnictwa chłopsko-robotnicze kosztują mas pracujących robłą kariery i prowadzą konszachty z prawicą...

Chłopi i robotnicy, otworzy oczy na to co się dzieje, przejmijmy się wszyscy duchem radykalizmu. Musimy znieść z powierzchni stare, fałszywe zasady burżuazyjno-klerykalno-ugodowe, a na ich miejsce zaprowadzić nowe, oparte na braterskiej sprawiedliwości. Musimy się włączyć energicznie do walki ze wszystkim, co nam staje na drodze do lepszego jutra, musimy szerzyć oświatę, pobudzać myślenie, instynkt społeczny, rugować zacofanie, ciemnotę, zakładać biblioteki, rozpowszechniać książki i gazety prawdziwie ludowe. Młodzieży ludowa! Ty nam pomóż, bądź naszą podporą w walce, pracuj usilnie, nie tylko fizycznie, ale i oświatowo. Pamiętajmy, że przyszłość nasza leży w naszych rękach...”

III. W OKRESIE ZAMACHU MAJOWEGO

Ocenę popularności Piłsudskiego wśród działaczy t. zw. demokratycznych partii sejmowych w okresie przed zamachem majowym, przynosi „N. Chłop.” w nrze 19 z dnia 25.4. 1926 r.:

„Wśród nieszczęsnej „demokracji” naszej w „Wyzwoleniu”, Stronnictwie Chłopskim, PPS i częściowo „Piastie” — panuje nieopisany chaos, zamęt i dezorientacja... Kłóca się między sobą wzajemnie, zwalając odpowiedzialność, wyszukując różnice programu i taktyki (których nie ma)... Na jednym tylko są zgodni niezdecydowani i „demokraci” nasi, oto na punkcie osoby J. Piłsudskiego. Wszyscy się do niego przyznają, wszyscy krzyczą: „On nasz”... Nie ma więc, nie ma zjazdu „Wyzwolenia”, Stronnictwa Chłopskiego, P.P.S. a nawet „Piasta”, żeby organizatorzy ich nie dawali chłopom jako najważniejsze do uchwalenia rezolucje o hołdzie dla marszałka Piłsudskiego...

„Chłop niszczy do reszty z braku ziemi — Piłsudski o tym ani słówka nigdzie nie wspominał. Chłop ugina się pod ciężarem podatków — Piłsudski milczy. Robotnik mrze z głodu i nie ma pracy — Piłsudski milczy... Obszarnicy i kapitaliści stawiają opór Państwu i nie zapłacili 1300 milionów złotych podatków — Piłsudski milczy... Na ulicach naszych miast padają coraz częściej trupy zgłodzonych robotników, w więzieniach siedzą po 4 lata bez sądu chłopie i robotnicy, na kresach hula swawola i gwałt, faszyzm i anarchizm coraz śmielej podnoszą głowę — Piłsudski milczy...”

W międzyczasie rozgrywa się na ulicach Warszawy w dniu 1 maja 1926 r. tragiczne wypadki, które okrywają żałobą i wstydem klasę robotniczą w Polsce. Oto w dniu święta robotniczego prawicowe bojówki PPS przystąpiły do rozprawienia formującego się na Placu Teatralnym wietu i pochodu komunistów, a potem przy biernym zachowaniu się policji, spowodowały bratobójczą walkę, w czasie której 6 robotników zostało zabitych a 27 osób odniosło rany...

Nadchodzi wrzesień przewrót majowy 1926 roku. Rząd Chjeno-piasta z Witosem na czele upada. Wojciechowski ustępuje. Piłsudski, jako wielka niewiadoma staje u władzy. N. P. Ch. ogłasza w dniu 30 maja 1926 roku komunikat, gdzie czytamy m. in.:

„Po zdobyciu niepodległości R. P. Józef Piłsudski posiadał pełnię władzy. Władzy tej jednak nie użył na przeprowadzenie reform społecznych, tak niezbędnych dla wiejskiego ludu pracującego. Złożył ją bez oporu w ręce chjeno-piastowych wyżywkaczy, którzy bez sprzeciwu partii ugodowych doprowadzili kraj, a w szczególności chłopów do ostatecznej nędzy.

„N. P. Ch. twierdziła i twierdzi, że znieść władzę obszarniczo-kapitalistyczną i zaprowadzić nowy porządek społeczny może i powinna jedynie zorganizowana siła robotniczo-chłopska. Pozostaje jednak jeszcze znaczna część chłopów, którzy pokładają nadzieję w Piłsudskim...”

15 maja po krwawych walkach J. Piłsudski objął władzę ponownie. Jak przewidzieliśmy, Piłsudski milczy o gwałtownych potrzebach wsi, nie przystępuje do budowy Polskiej chłopsko-robotniczej... Kapitalistycznego ustroju w Państwie Piłsudski zmienić nie chce... („Niezależny Chłop” nr 19 z 1926 r.).

W dniu 14 lipca 1926 roku N. P. Ch. ogłasza na łamach „N. Chłopa” (nr 34) niezwykle charakterystyczny list otwarty do uchodzących za postępowe Klubów Poselskich „Wyzwolenia” i „Stronnictwa Chłopskiego”. Oto treść listu:

„Szanowni Panowie! Zwracamy się do Was tym razem nie z wezwaniem do wspólnego działania i walki, które tylokrotnie odrzucaliście. Ostatnie głosowanie Wasze za budżetem dla rządu Bartla — Piłsudskiego i za 10 proc. podwyższeniem podatków wskazuje, że już bez obstrukcji, jawnie poszliśmy drogą zdrady interesów mas ludowych. To też nie mamy już nadziei z drogi tej Was zawrócić. Ale oto przychodzi sprawa niesłychanej dla ludu wagi, na najbliższych posiedzeniach sejmiku ma się rozstrzygnąć walka z reakcją o zmianę Konstytucji. Stanowisko Wasze w tej sprawie nie jest jasne i zdecydowane. Nie głosowaliście razem z nami przeciw odrzuceniu projektu rządowego, który przekreśla resztę praw chłopów i robotników — woleliście głosować razem z „Piastem” i prawicą...

Niejednokrotnie również zdarzało się do tychczas, że przy ważniejszych nawet głosowaniach, Wy — posłowie wyzwoleni, nie zjawialiście się w komplecie podczas głosowania na sali czy to przez niedbalstwo, czy przez chęć ukrytej pomocy rządowi. Przez niezjawianie się Waszych i „Stronnictwa Chłopskiego” posłów w Sejmie lub przez usuwanie się do bufetu, nieraz już zdarzyło się, że z braku głosów lewicowych, zwyciężył rząd i prawica.

Obawiając się, że i tym razem niedbale odniesiecie się do swych obowiązków, a co gorzej, że w ukryty sposób zechcecie pomóc rządowi i zrzucić ze siebie odpowiedzialność — uprzedzamy Was, że przy każdym głosowaniu będziemy pilnie uważali, ilu Was jest,

Petr Jilemnicki



Petr Jilemnicki

Jeżeliśmy wprawdzie w tym, że północ jest już blisko, świerszcze grały nam wprost do ucha, lecz rzecz ciekawa — wcale nie spostrzegaliśmy ich muzyki, ponieważ całą istotą zanurzyliśmy się i zasluchali we wszystko ogarniającą ciszę, jako że jedynie od niej mogło przyjść to, na co czekaliśmy.

Uświadamiam sobie, że powinniście wziąć mnie w cugle, gdy zbytnio daję porwać się własnym słowom. Co ma wspólnego kronika z gwiazdami? Kto chciałby ją psuć nieprawdopodobnym opowiadaniem o tym, że świerszcze decydowały się grać jakimś gajowemu wprost do ucha?

Nie będę się więc już upajał własnymi słowami. Opowiem wam poprostu o tym, jak czekaliśmy i jak doczekaliśmy się. Nic wam do tego, jakie uczucie i wzruszenie opanowało nas, gdyśmy usłyszeli w oddali warkot samolotu. Dla was najważniejszym faktem jest chyba to, że samolot naprawdę zaczął się zniżać i krążyć nad nami i że w pewnej chwili coś się zeń wysypało. Nie wiem, czy to się nam tylko wydawało, lecz z początku widzieliśmy jedynie jakieś ciemne punkty, nad którymi po chwili pojawiły się małe białe obłoczki. Zdawało się nam, że w momencie tym cały obraz zniechęcił. Było to jednak tylko złudzenie. Obłoczki rozrzucone po niebie opadały powoli, kropki zawieszone pod nimi wydłużały się i uzyskiwały wyraźniejsze kontury. Tak, to byli oni!

Wyskoczyliśmy, aby biec im naprzeciw. W ciemności nocy, przetykanej jedynie światłkami gwiazd, trudno było odgadnąć dzielącą nas odległość, trudno było określić, gdzie spadną.

Rzeczywiście ani jeden nie spadł blisko nas. Widzieliśmy jedynie — i to niewyraźnie — jak zetknęli się z ziemią, widzie-

*) Petr Jilemnicki — Kronika (Wiatr wraca) — powieść o partyzantce na Słowaczynie, wyd. w 1948 r. w Pradze.

ilu głosuje, którzy z Was są nieobecni i którzy wstrzymują się od głosowania...

Upprzedzamy, że o tym wszystkim będzie. my pisali i mówili ludowi bez ceremonii. A wiecie dobrze, że my, NPCh umiemy dotrzymać zobowiązania wobec ludu...

Niestety, jak stwierdza poseł NPCh. St. Ballin w „N. Chłopie” nr. 35, z dn. 1.8.1926 r. — „wszyscy posłowie z „Wyzwolenia” i „Stronnictwa Chłopskiego” pokornie głosowali razem z Chjeno-piastem za reakcyjnym pogorszeniem Konstytucji (uchwalenie znanych pełnomocnictw dla rządu).

Tymczasem w Polsce szerzy się terror, a sytuacja ekonomiczna mas proletariatu wiejskiego i miejskiego pogarsza się z dnia na dzień. Na łamach „N. Chłopa” znajdujemy coraz więcej i coraz bardziej rozpaczliwych głosów ze wsi, które choć niestety były tylko głosami wołających na puszczy, już wkrótce sprowadzić miały na sprowokowanych auto-rów nieszczęścia i prześladowania.

I tak m. in. w nrze 29 „N. Chłopa” z dn. 20.6.1926 r. znajdujemy artykuł pt. „Położenie robotników Zagłębia i Górnego Śląska”, gdzie czytamy co następuje:

„W ubiegłym tygodniu przybyła do Warszawy delegacja bezrobotnych Zagłębia Dąbrowskiego i Górnego Śląska oraz delegaci zatrudnionych częściowo robotników w liczbie 37 delegatów. Delegaci ci przedstawili rządowi ciężkie położenie robotników w Zagłębiu Dąbrowskim i na Górnym Śląsku, spowodowane niskimi płacami i wzrostem drożyzny, jak również katastroficzne położenie bezrobotnych, których liczba w obu okęgach wynosi około 120 tys., a tylko 70 tys.

pobiera skromne zasiłki. Reszta jest zupełnie pozbawiona środków utrzymania. Położenie robotników jest tym rozpaczliwsze, że drożyzna z dnia na dzień gwałtownie rośnie. Delegacja domaga się zapomóg dla wszystkich bezrobotnych i podniesienia ich w tej wysokości, jak wzrosła drożyzna, wyasygnowanie pieniędzy na roboty publiczne, opieki lekarskiej dla bezrobotnych i ich rodzin...”

Nie też dziwnego, że w tych warunkach w ośrodkach robotniczych coraz częściej przychodzi do strajków i krwawych rozruchów. Tragiczne wypadki mają miejsce w Ostrówcu (6 zabitych, kilkunastu rannych), w Gościnie (3 zabitych, 7 rannych), w Kaliszu, Włodawce, Inowrocławiu i innych miejscowościach. W związku z tym „N. Chłop” w nrze 32, z dn. 11. 7. 1926 r. słusznie zauważa, że „od pewnego czasu strzelanie do robotników w miastach stało się wypadkiem prawie co tygodniowym...”

Wnet też miały się rozpocząć represje na odcinku wiejskim. Teraz zabrały głos władze prokuratorskie i policyjne, centralne i terytorialne. Represje rozpoczynają się formalnie od konfiskat a wrzesień zawieszania (wrzesień 1926 r.) „N. Chłopa”, przekształconego potem na „Lemiesz” i „Niezależnego Oracza”.

Równocześnie reżim zbiera bogate żniwo usługowej pracy zdrajcy i prowokatora, Wojewódzkiego. Ujawnieni na łamach „N. Chłopa” postępowi działacze i pisarze chłopscy wędrują za kraty więzienne, a wieś polska miota się nadal w okowach nędzy i ucisku.

Władysław Błachut

Tłum. V. P.

KRONIKA

(Wiatr wraca)

liśmy jak jedni leżąc, drudzy znów biegnąc albo kłęcząc starali się przyciągnąć do siebie białą wędrowną obłoczek, aby móc się od niego uwolnić.

Podczas gdyśmy szli im na przeciw, oni już gromadą posuwali się w naszą stronę. Możecie sobie wyobrazić, jak ich przywitaliśmy. Możecie sobie wyobrazić, jak ich obejmowaliśmy i ściskali sobie wzajemnie dłonie. Wście, że twardy ze mnie chłop i że niejeden wiatr mnie osmagał, lecz nie wstydzi się wam przyznać, że miałem łzy w oczach.

W pewnej chwili ten, który na pierwszy rzut oka wydawał się nam przywódcą całego oddziału szoków spadochronowych, podszedł do mnie, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i rzekł:

— Ty... Gondasz!

Nie wierzyłem własnym uszom. Jak to możliwe? Ludzie, których nigdy jak żyję nie widziałem, ludzie, którzy z ziemi rosyjskiej przyjechali do nas i dopiero przed chwilą zetknęli się z naszą ziemią słowacką, nazywają mnie po imieniu...

Przyszło mi wówczas na myśl zdarzenie sprzed roku, przypomniałem sobie rosyjskich inżynierów i porucznika Pawła, którzy po ukończeniu swoich planów na pewno szczęśliwie powrócili z naszej wioski do kraju. Wrócili z mapami i z listą ludzi, na których można polegać...

Zapewniał was, że dawno już nie czułem takiej radości jak wówczas. Lecz o tym nie piszcie w kronice!

— Kozłów — przedstawił się jeden z partyzantów.

— Kozłów — mówi drugi.

— Kozłów — powtarza trzeci.

Nie wiem dlaczego, ale musiałem się z tego śmiać, podejrzywałem zarazem, że stroją sobie z nas żarty. Tym bardziej, gdy za Kozłowa podał się czwarty i piąty. Oni też się śmiali a piętnastu pozostałych rechotało chyba dlatego, że tego rodzaju niespodzianka musiała nam — jak sądzę, — dobrze wykrzywić gęby. Zapewnili nas jednak całkiem serio, że pięciu Kozłów to nie żaden kawał, lecz pięciu rodzinnych braci, którzy prosili o przydział służbowy do jednego oddziału.

Zwróćcie w swej kronice uwagę na to, że wybrali sobie najbardziej niebezpieczną służbę. Proszę, nie zapomnijcie o tym szczególnie i odpowiednio go podkreślić. Ulokowaliśmy naszych partyzantów na stokach Vepry, w bunkrze, który już w ubiegłym roku służył ich poprzednikom. Był wprawdzie ciasny dla tylu ludzi, ale było to latem, gdy trawa miękka a noce ciepłe...

I tak wreszcie mieliśmy ich u siebie. Wkrótce dały się w okolicy słyszeć opowiadania o chłopcach, którzy uciekali z domu i szli do lasu...

Pewnej soboty, a było to właśnie w połowie września, gdy ludzie wracali z tygodniowej pracy do domu, przyszedł do mnie stary Chudik i powiedział:

— Jeśli nie wrócę w poniedziałek do pracy, to znaczy, że przyjdę później.

— A to dlaczego?

— Idę do Bystrzycy na zjazd...

W tym momencie przypomniałem sobie

wiadomości i ogłoszenia, od których roło się w gazetkach i — prawdę mówiąc — zacząłem trochę zazdrościć Chudikowi, że będzie naocznym świadkiem wydarzenia o tak wielkim znaczeniu.

Nie wiem, czy pamiętacie jeszcze o tych sprawach, nie wiem, jaki jest wasz do nich stosunek. My wszyscy, którzy od dawna pracowaliśmy w ruchu socjalistycznym, czy to w partii komunistycznej, czy też w socjal - demokratycznej, uświadamialiśmy sobie w owym czasie znaczenie zjednoczenia obu partii, co miało się dokonać 17 września. Robotnicy, chłopie i wszyscy porządni ludzie, którym dopieklą niesprawiedliwość, przemoc i oszustwo, rozpoczęli wówczas walkę z tym społecznym...

Patrzyłem na starego Chudika pełny dobrośliwej zazdrości.

— Jesteście delegatem socjal-demokratów?

Przytaknął. Potem chwilę pomyślał i rzekł:

— Dawno już zastanawiałem się nad tym... Stary jestem i wiem, jak to na świecie bywało: gdy panowie chcieli się dobrać do naszej skóry, dzielili nas na kilka partii... Gryźliśmy się z sobą, a oni zdzierali z nas skórę...

— Słusznie — przytaknąłem — Tym razem na próżno będą sobie ostrzyły zęby. A kto idzie z naszych?

— Urban i Lisiak.

Do naszego zakątku wieści przychodziły z wielkim opóźnieniem, rzecz zrozumiała. Zależało to od naszej wąskotorowej kolejki, która, zwłaszcza w tym okresie, wcale nie dbała o rozkład jazdy i kursowała jak jej się żywnie podobało.

Kiedy stary Chudik wrócił, przywiózł mi cały stos starych gazet.

— A jak tam było?

Pytałem, pełen niecierpliwości, która nie została zaspokojona. Chudik machał ręką, jakby chciał wyrazić zbyteczność jakichkolwiek pytań. Powtarzał jedynie:

— Tego się nie da wypowiedzieć słowami... Tego się nie da w ogóle wypowiedzieć...

Musiałem zadowolić się nadzieją, że gazety, w których będzie omawiane to ważne zdarzenie, na pewno wyliczą nam wszystkie szczegóły i opiszą entuzjazm, jakiego świadkami nie bywa się zbyt często; a tak — Urban i Lisiak — gdy tylko ochłona i wszyscy ustakuje się im w głowie — będą mogli opowiedzieć o zjeździe więcej niż Chudik chciał.

Żeby tylko ten czas tak szybko nie uciekał! Gdyby go można było zatrzymać choć na chwilę. Jak można czas zatrzymać! Kończył się wrzesień, nadchodził październik, a chmury, które bywały w lecie jak mleczna pianina, zupełnie poszarzały. Wiatr już nie wiał ze ściernisk, ludzie je zorali. Skoro tylko deszcz przestawał padać, a wietrzyk owiał stoki, znów śpieszyli na pola i zbierali kartofle. Tak brzydkiej pogody, takiej jesieni dawno już nie mieliśmy.

*) W Bystrzycy, która wraz z rozległą okolicą była opanowana przez partyzantów, odbył się zjazd — do połączenia partii jednak nie doszło. (Przyp. tłum.).

Piotr Chmura

„TERRA, NON GUERRA!”

(Ziemia, nie wojna!)



„Jeśli prawdą jest, że macie miliardy, jak ich używacie? Żyjemy w grotach Mergelliny, a nasi mężowie nie pracują już od lat”. (Z manifestacji przeciwko planowi Marsaalla).

W ostatnich tygodniach USA obiecały rządowi włoskiemu udzielić kredytów na inwestycje rolne w wysokości około 70 miliardów lirów. 43 miliardy lirów mają pozostać w rozporządzeniu rządu. Ponad 13 miliardów przejdzie na inwestycje dla prywatnych właścicieli rolnych. Uchwyconą w tym miejscu nie rozsuplają aż do końca. Rząd jest w ręku Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii, tej która wyrwała władzę komunistom, jaką posiadali w pierwszym okresie po zakończeniu wojny. Stało się to „przy pomocy” USA. W pierwszym bowiem okresie uchwalono Konstytucję, stanowiącą fundament dla wielkich przemian społecznych. Konstytucja stawiała kategorycznie „reformę rolną”. A reforma rolna we Włoszech to **przezwroć!** Za panowania Chrześcijańskiej Demokracji Konstytucja zawisa na kółku. O Reformie Rolnej nie ma mowy. Ale pomyślajmy, że kredyty inwestycyjne to — chrześcijańskie wyrównanie dla chłopów? Nie podobnego. 43 miliardy lirów „rządowych” dostanie się na Komitety Ulepszenia produkcji rolnej. A Komitety składają się wyłącznie z ziemian, Statuty Komitetów oparte są jeszcze o prawodawstwo faszystowskie, wykluczają udział robotników rolnych, dzierżawców i drobno-rolnych. W pozycji 13 miliardów lirów, przeznaczonych dla prywatnych właścicieli znajdują się jako petenci również ci sami ziemianie obok drobno-rolnych chłopów. Oto ustawienie, które przypomina matę w szachach. Wejrzymy w obraz walki klasowej, jaką wyraża owo ustawienie „figur” przez jeszcze większe figury...

Dla czytelnika polskiego zdumiewającym musi się wydać układ stosunków agrarno-społecznych we Włoszech — jeszcze bardziej, niż

był u nas — feudalny i jeszcze bardziej kapitalistycznie skomplikowany. Renta gruntowa, jako podstawa dochodu, święci tu po przez kapitalistyczne formy dzierżawy i pod najmu swój triumfalny związek ze średnio-wieczem.

20 tysięcy rodzin latyfundystów posiada połowę ziemi Włoch — 10 milionów ha. Taki obraz jest nam znany z niedawnej naszej przeszłości. Ale rzecz w tym, że ponad 2/3 ludności pracującej na roli znajduje się w bezpośredniej zależności od latyfundystów. 2.300.000 robotników rolnych pracuje na folwarkach. A 3.300.000 rodzin dzierżawi pańską ziemię. Zatem — 5.600.000 rodzin chłopów nie posiada wcale ziemi. 2.700.000 ha. ruje na własnych gospodarstwach karłowatych, nie wystarczających na utrzymanie rodziny. Oto najogólniejszy obraz chłopstwa włoskiego. Dzierżawcy są dwie kategorie. Jedna na dzierżawach rodowych, z obowiązkiem oddawania 50% zbiorów (dochodów rocznych). Druga na umowach rozrywkowych (zmiennych), ponosząca jeszcze większe ciężary wobec właściciela ziemi (70—80% zbiorów). Przy potwornym głodzie ziemi, przy wielkiej armii robotników rolnych, przy półtora miliona bezrobotnych chłopów gra na dzierżawę umowną udaje się latyfundystom. Żądają oni z ha oddania sobie 10 kwintali zboża (100.000 lirów), z tyśią ha dzierżawnych obszarów wyciąga rocznie 100 milionów lirów. Dlatego u tyśią latyfundystów leży odłogi milion 500.000 ha ziemi. Nie opłaca im się podejmować inwestycji w ziemię, w podniesienie i rozszerzenie produkcji folwarcznej. Renta gruntowa płacona w formie dzierżawy po-

krywa z nadmiarem obszary zdewastowane i zapuszczone, na których dopiero trzeba by budować osiedla, drogi, dopiero inwentaryzować narzędzia produkcji. To chłopci sami w pierwszym okresie po wojnie, dzięki poparciu partii komunistycznej, objęli ziemię nie uprawianą przez latyfundystów, zakładając na nich wsie spółdzielcze. Walka o ziemię dla tych, którzy sami pracują, weszła w etap trudny dla rzeszy chłopów. Po wojnie wydano prawo, wedle którego latyfundysta albo odłogi uprawia, albo, jeśli tego nie czyni, musi oddać w bezpłatną dzierżawę chłopom, zakładającym wsie spółdzielcze. Partia komunistyczna wywalczyła 250.000 ha na nową uprawę. Teraz prawo nie jest wykonywane. Odłogi znów szachują obszary — chłopów, których 2/3 nie ma ziemi, dla których dzierżawa, ba, najemne roboty rolne są sprawą życia i śmierci. Rachunek jest prosty. Mniejszy obszar folwarków i ziem dzierżawnych wymaga podaż rąk roboczych i podaż opłat dzierżawnych, które zakuwają chłopów w niewolę średniowieczną. 10—20% zbiorów dla własnej rodziny!

Jednym z największych latyfundystów jest Watykan. Kościół pod własnym imieniem dzierży w swym ręku **pół miliona ha**. Rozporządza nimi według tych samych feudalno-kapitalistycznych zasad. W tych dniach odbyło się w Modenie Zgromadzenie Narodowe Komitetów Ziemi. Chłopi stanęli tam wobec trzech spraw.

1) Żądali w tych nowych, tragicznych warunkach tego, co w kapitalizmie było codziennym przedmiotem walki, Związków Zawodowych od etapu do etapu. Dodatków rodzinnych dla robotników rolnych, zasiłków dla bezrobotnych, nowych płac minimalnych, wypowiedziania pracy na 4 co najmniej miesiące, urlopów płatnych, 8-godzinny dzień pracy. Oto rzucone oskarżenie chrześcijańskiej demokracji i latyfundiście-Kościółowi.

2) Stanęli wobec „laskawej pomocy” USA, wobec kredytów inwestycyjnych dla rolnictwa włoskiego. To znaczy, nie dla małych rolników, nie dla dzierżawców i nawet nie dla folwarcznych. Plan rozkładu kredytów przewiduje odbiór w latyfundystach, a ci zmarnotrawia fundusze w części, w części przeleją na akcje giełdowe i przemysł, opanowywany i kontrolowany przez USA. Wróć, skąd przyszły, po czasie. W tej chwili mają wzmacniać i rozzuchwalać burżuazję obszarową, oszukać chłopstwo włoskie.

3) Dlatego wraca dla chłopów tym natężeniem sprawa Reformy Rolnej. Żądanie jej wzrost będzie w masach coraz silniej, coraz wymowniej. Fakt, że 2/3 chłopów jest bez ziemi (folwarczni i dzierżawcy), że 1/3 to małorolni — już w latach międzywojennych ustawił wieś do komunizmu i partii komunistycznej przychylnie, mimo że ziemia i uprawa to południe, a przemysł to północ, mimo dławiącego patronatu plebanii, mimo ciemnoty i prymitywizmu. A. Gramsci, twórca partii komunistycznej, już po pierwszej wojnie przełamywał rozdział pomiędzy wspólność interesów z proletariatem. Latyfundiści wykorzystują chłopów, a kapitaliści, zdobyte pracą ich rąk, lokują w przemyśle na północy, gdzie wyszukiwani są znowu robotnicy.

W Modenie, w tych dniach chłopci włoscy rzucili na świat, na Kongres Pokoju, wielkie hasło: **Ziemia — nie wojna!**

Oni, wycucy z ziemi, **pokój budować mogą przez ziemię!** Kto im ziemię wzbrania, kto przy pomocy ziemi frymarczy ich życiem i śmiercią — ten toczy wojnę z człowiekiem!

Ziemia — nie wojna!



Z literatury ludowych Włoch (książki Ruggera Grieco, członka Włoskiej Partii Komunistycznej): „Komuniści i chłopci pracujący”; „Przegląd wielkich właścicieli ziemskich”; „O przyszłość młodzieży wiejskiej”.

Kazimierz Piwarski

Naród francuski pragnie pokoju

Rząd „trzeciej siły” znajduje się pod mocnym ostrzałem. Masy ludowe Francji mają już stanowczo dość ustawicznych afer, tolerowania i tuszowania skandali finansowych, karygodnego pobłażania kollaborantom-zdrajcom sprawy narodowej. Wiadomo już, jaki powód tego pobłażania. Kollaborantów ochraniają dzisiaj przed ręką sprawiedliwości potężne koneksje z całym kręgiem interesów owych 200 rodzin wielkokapitalistycznych, które Francję doprowadziły do katastrofy i hańby r. 1940, które stanowiły podparcie reżimu Vichy, a teraz panoszą się dalej we Francji — w cieniu imperializmu amerykańskiego. Rozzuchwalona reakcja coraz śmielej podnosi głowę. Koła prawicowe domagają się amnestii dla kollaborantów. Skrajnie reakcyjna PRL (Republikańska Partia Wolności) złożyła w Zgromadzeniu Narodowym wniosek, domagając się zniesienia specjalnego trybunału dla spraw kollaboracji! Pod osłoną kół rządzących Francją dokonuje się jawna mobilizacja wszystkich sił reakcyjnych, dążących do zniewolenia nawet dotychczasowych, skromnych zresztą zdobywczy IV Republiki.

Rząd „trzeciej siły”, radykalno-chadeckoblumowski, musi ostatecznie zrzucić maskę rzekomego republikanizmu i demokratyzmu, przypierany coraz silniej do muru będzie musiał obnażyć swe istotne oblicze — służalcę reakcji i amerykańskiego imperializmu. Co do tego bowiem nie można już żywić żadnych złudzeń. Minister Marie, który z takim pobłażaniem traktował kollaborantów, stosował równocześnie bezwzględne represje wobec górników francuskich, którzy w obronie swej egzystencji podjęli głośny strajk w jesieni ub. roku. Na aresztowanych górników posypały się kary więzienia i grzywny. Minister Marie wydał okólnik do sądów apelacyjnych, zalecając sędziom zatwierdzanie wszystkich wyroków, wydanych przeciw górnikom, którzy uczestniczyli w strajku. W tych warunkach wszystkie

organizacje robotniczych związków zawodowych, nie wyłączając chrześcijańskich i roślamiowców spod znaku „Force Ouvrière”, protestują przeciw represjom, solidaryzując się z całością klasy robotniczej. Przewodniczący związków górników francuskich Duguet oświadczył ostatnio: „Polityka rządu kosztuje państwo drożej niż zadośćuczynienie żądaniom górników; rząd jednak mimo to kontynuuje ją, albowiem celem jego jest ostateczne złamanie oporu górników, tej awangardy klasy robotniczej, stojącej na przeszkodzie w polityce antyspołecznej rządu, w jego uległości wobec imperialistów i dążeniu do wojny”.

Sprawa jest postawiona jasno. Czy samo odejście pana Marie zmieni zasadniczo sytuację? Należy w to wątpić — dopóki reszta zespołu „trzeciej siły” stoi u steru rządów. Bo przecież oświadczenie kollaborantów czy przesładowanie robotników to tylko pewne aspekty ogólnego zagadnienia: zaprzędania się „trzeciej siły” na służbę reakcji amerykańskiej, popierania interesów reakcji rodzimej i obcej. Rzecz prosta, iż na zewnątrz stara się rząd francuski zachować pozory polityki „obiektywnej” czy „neutralnej”. Nikogo to jednak nie wprowadzi w błąd. Wiadomo, że rząd „trzeciej siły” utrzymuje się we Francji jedynie dzięki mniej lub więcej jawnym kontaktom z gaullistami, dzięki temu, że jest jeszcze potrzebny — do czasu! — jako czynnik ułatwiający de Gaulle'owi realizację jego snów o dyktaturze. Podobnie i w sytuacji zagranicznej: wiadomo, że rząd „trzeciej siły” spełnia tylko rolę, wyznaczoną w planach imperialistów amerykańskich. Kiedy Queuille czy Schuman lansują pomysły tzw. „trzeciej siły międzynarodowej” (ewentualnie przy współpracy Francji z W. Brytanią), mającej rzekomo odegrać rolę pośredniczącą między Stalinem a Trumanem, to w istocie chodzi im tylko o zamaskowanie istotnej zależności od Waszyngtonu. Dowodem tego odmowne stanowisko rządu Queuille'a wobec propozycji pokojowych J. Stalina.

Polityka zagraniczna Francji poddana została druzgocącej krytyce w ostatniej deklaracji Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR z 29.1. Stwierdzono w niej m. in., że „rządy W. Brytanii, Francji i innych krajów uczestniczących w tym sojuszu (Unii Zachodniej), zdecydowanie zerwały z tą polityką, którą prowadziły państwa demokratyczne, wchodzące w skład antyhitlerowskiej koalicji w okresie drugiej wojny światowej, z polityką, zmierzającą do skupienia sił wszystkich milujących pokój państw, rozbięcia agresji hitlerowskiej i faszystowskiej oraz do stworzenia warunków, które by uniemożliwiły odrodzenie sił agresywnych po wojnie”. Albowiem „rządy W. Brytanii i Francji wraz z rządem USA w istocie pragną w chwili obecnej wciągnąć i wyzyskać do swoich celów Niemcy Zachodnie, w których, przy współudziale przede wszystkim anglo-amerykańskich sił okupacyjnych, coraz mocniej się usadawiają we wszystkich ogniskach kierownictwa stare prohitlerowskie i militarystyczne elementy reakcji niemieckiej. Fakt, iż zwrot ten w polityce państw zachodnio-europejskich znalazł poparcie i pochwale ze strony kół kierowniczych USA, jeszcze bardziej zwiększa niebezpieczeństwo, wynikające z przemian politycznych, jakie zaszły we wspomnianych wyżej krajach europejskich, które zerwały z polityką pokojową i wkroczyły na drogę przygotowań do nowej agresji w Europie”.

A jednak rząd Queuille'a nie daje jeszcze za wygraną: sędzi widocznie, że maskowaniem swej istotnej roli, gierkami balansowania czy lawirowania, potrafi jeszcze złudzić część społeczeństwa francuskiego. Staje się to jednak coraz trudniejsze, wobec ofensywy pokoju, jaką podjęły siły postępowe Francji starające się w pełni uświadomić własne społeczeństwo. Postępowa opinia Francji domaga się jasnego opowiedzenia się po stronie obozu pokoju, przeciwko podżegaczom wojennym. Takie stanowisko zajęli m. in. intelektualści francuscy w swych wypowiedziach na

forum obrad „Międzynarodowego Biura Łączności dla Obrony Pokoju” w Paryżu (zainicjowanego przez Kongres Intelektualistów we Wrocławiu). Postępowy ksiądz Boulier oświadczył m. in.: „Podżegaczy wojennych trzeba przyprzeć do muru i zmusić ich do rozmów. Francuzi nie będą uczestniczyli w zbrodniczych planach, skierowanych przeciwko ZSRR. Nie wystarczy myśleć o pokoju, należy o pokój walczyć. Walka ta zakończy się zwycięstwem”. A. L. Aragon wyzywał do zorganizowania nowego ruchu oporu przeciw podżegaczom wojennym, kończąc swe przemówienie tymi słowami: „Połączmy się wszyscy z olbrzymią masą ludową, która nie chce wojny i bédziemy do niej przemawiać językiem Romain-Rollanda, językiem pokoju”.

Głosy intelektualistów wyznaczają wyraźnie rolę narodu francuskiego w dzisiejszej sytuacji światowej: winien on stanąć niezłomnie po stronie obozu pokoju. Nie wątpimy, że takie właśnie stanowisko odpowiada pragnieniom większości narodu. Zapewne znajdzie to swój wyraz już w majowych się odbyć niebawem wyborach kantonalnych; jak wiadomo, ostatnie uzupełniające wybory do rad miejskich wykazały znaczny wzrost wpływów partii komunistycznej. Jej hasłem jest obecnie utworzenie rządu jednolitości demokratycznej, który prowadziłby politykę pokoju i niepodległości narodowej. Hasło to odpowiada w zupełności prawdziwym interesom narodu francuskiego, w szczególności jego klas pracujących. Linia podziału we Francji jest coraz wyraźniejsza: po jednej stronie „stronnicstwo amerykańskie”, czyli te wszystkie ugrupowania, które jawnie lub skrycie służą interesom reakcji i imperialistów — po drugiej wielomilionowe rzesze Francuzów, zgrupowane w Partii Komunistycznej i związkach zawodowych, które opowiadają się zdecydowanie za pokojem i przeciwstawiając się wplątaniu Francji w sieć awanturniczej polityki wojennej imperialistów amerykańskich, służą najlepiej sprawie swej ojczyzny.

Jerzy Woleńczyk

WĘDKARZ

Na końcu haczyka słowa
Pluszcze myśl głębinowa
Język przenikliwy jak szkło
Język przenikliwy jak ocean
haczyk brodzi po dnie
ostatni zgrzyt haczyka
a wędkarz fajkę pyka
Głębinowa myśl się wymyka
poknęła z haczykiem słowa

Pod język jak szkło
Pod język jak ocean
można podłożyć świat
który uspakaja oczy
i taki który uspakaja wyobraźnię
i taki któremu ufają kształty
i taki któremu ufają nazwy
gdzie dwie myśli są wylupione
przez wronę zakryte niebo
południe wydzwaniane kopytem
cwałującego żuka
gdzie dzieciół jest Zeusem
z dzioba wytrząsa pioruny
a poezja ma struny
ze strużek deszczu na szybie
weź szybę jak cytę
i uderz w te struny
oto jej głos

Na końcu haczyka słowa
Pluszcze myśl głębinowa

Wycofują się ryby w głębinę
może dzisiaj haczyk ominą
może jutro haczyk ominą
może zawsze haczyk ominą

Jan Zygmunt Jakubowski

NOWA HISTORIA LITERATURY

Wokół programów — pisał Mieczysław Jastrun w roku 1947 („Kuznica” nr 25) — panuje cisza. A przecież program nauczania literatury w szkołach powinien kształtować młodzież, ależ przyszłość kultury i literatury w Polsce“.

Istotnie, pora przerwać to milczenie: część nowego programu historii literatury jest już w bieżącym roku realizowana w klasie IX jednolitej szkoły, dobiegają końca prace nad ustalaniem sformułowań programu dla klas X i XI. Sprawa dojrzała, aby uczynić ją przedmiotem rozważań nie tylko w kręgu specjalistów. Nie chodzi bowiem w nowych koncepcjach programowych jedynie o drobne zmiany w jakości i ilości wiedzy literackiej, które dostarcza tylko najbardziej zainteresowany: nauczyciel-polonista. Nowy program podjął rzecz zasadniczą: interpretację historii literatury zgodnie zarówno z doświadczeniami historycznymi naszych czasów jak i postulatami metodologicznymi współczesnej nauki o literaturze. Tak pojęty program nauczania literatury jest niewątpliwie częścią dzieła wielkiej reformy kulturalnej, jaką przeprowadza Polska w nowej sytuacji historycznej. W istocie chodzi tu bowiem o problem, który pasjonuje wszystkich — o wybór dziedzictwa kulturalno-literackiego. Sprawa ta była u nas po wojnie niejednokrotnie dyskutowana (wystarczy przypomnieć wypowiedzi Sokorskiego, artykuły Chałasińskiego, czy Żółkiewskiego, Kotta, Ważyka, P. Hertza i in.). Program traktuje sprawę dziedzictwa kulturalnego w konkretnym, praktycznym zastosowaniu. Dlatego wzywa nie do pożytecznej dyskusji, nie jest retorycznym gestem. Zmobilizowanie uwagi i czujności wielu jest tu po prostu potrzebą społeczną. Praca nad nowym programem w okresie rewolucyjnych przeobrażeń w życiu narodu nie jest łatwa. Programy i szkoły nie dotrzymują kroku zasadniczym przemianom społeczno-gospodarczym. Zmniejszyć do minimum ten tradycyjny przedział między życiem a szkołą — oto wielka i piękna ambicja nowego programu nauczania literatury.

Korzystam z zaproszenia, aby właśnie na łamach „Wiś” przedstawić zasadnicze koncepcje programu. „Wiś” bowiem drukowała wiele wypowiedzi nauczycieli, działaczy społecznych i młodzieży, atakując praktykę nauczania literatury w szkole. Upraszczały one może trudną problematykę. Ale tkwiła w nich zarazem zrozumiała i słuszna tendencja świeżego spojrzenia na dorobek literacki przeszłości i do takiego nauczania literatury, aby było ono rzeczywiście pomocą dla młodych w zdobywaniu rzetelnej wiedzy o człowieku i życiu. Cytowane fragmenty z wypracowań maturalnych (w artykule J. A. Króla „Koniec z takim uczeniem”, „Wiś” nr 1—2 br.) świadczą rzeczywiście o bezsensownej i chaotycznej interpretacji literatury

Na początku i na końcu mądrości
jest fermentuje coraz to nowymi kształtami
zagaduje gałąź o krew ziemi
usta o uśmiech
ogień o płomień
stoi na becze nie mając skały
na becze która pije krążek nieba
i której krawędzie są krawędziami
horyzontu

Tam gdzie sięgają szlaki
nie znające procesów oka
duma spojrzieniami których starczy
dla wszystkich
cisze skrapla w znak zapytania
i dla błądzących ma tylko dwa zdania
patrzcie dwoma oczyma
i nie dzielcie historii
na czas kiedy
ludzie łapali zwierzęta
i czas kiedy
ludzie łapali ludzi
Byłby kondorem
urodził się indykiem
i potrząsa pytaniami
pytania dzwonią jak kamienie
i kiedy spadają na dno umysłu
zapominają że są kamieniami
i mają lot i dotyk liścia

Ciszę uwiesza u czoła znaku zapytania
i związa go
związa
w okrzyk Archimedesesa
albo w zdziwione rozwarcie ust Sokratesa

Nieraz wychodzi tańczyć
na nogach których nie dojrzałbyś
są tylko ślady na piasku
o utraconej pamięci
szepczące mądrości zaklęcia
ślady szczudeł
nie są same
obok inne wyrastają
w osłów karawane
wędrującą pod przewodnikiem błędnych
przywidzeń
za każdą fatą — morgana
wraca do siebie
bo żadna nie dała mu tego
co widział w oczach dziecka i człowieka
z tłumy

Krople odrywa z fontanny
i opija całym słońcem
inne które są codzienną mową
mają orbitę
wytacza z niej jedną kroplę
kroplę wykruszoną z fontanny
pióro pociera o papier
wykrzesza iskry
iskra która zostanie tylko iskry
musi zniknąć
nie ma gdzie iść
ale zamknięta w kształcie wiersza
wędruje od ściany do ściany
w dół
w górę
echo wiersza
echo w pustym pokoju wywiezionych
echo które nigdy nie zapyta o głos

Wszystko co płatki śniegu wiedziały
o życiu

to był ich lot
myślały że dach gałąź ziemia
to koniec
Dlatego i śmiesznie i nagle
przed nimi podskakują

Cienią pną milczącym ruchem
i uchem jednym małym
głosów żadnych nie złowią
z tamtej strony pnia
i mówią
poza naszym białym cieniem
nic nie ma

Może dlatego że jest zima
serce przypominało sobie że jest gorąca
i że może się na coś przydać
choć jest jedno
a tysiące jest waszych
i że jest bratem Twoim Przechodniu
który niesiesz własny Cień
Już jest jedna godzina po dniu
już do mieszkań rozjaśnionych zagłada
na podłodze bawi się dziecko

Z garnka wykpiął na blachę dzień
i zasyczał
Dziecko wsiada do pociągu z pudełek
Ręce których matka nie widzi
bilet do kraju mu podają
gdzie się wędruje chwilę
kiedy matka dogląda garnka
a gdy się odwraca
już nas nie poznaje

w szkole. Istotnie pora, aby nowy program pośpieszył na pomoc.

II

W rozważaniach niniejszych nie omawiam całości programu języka polskiego w najstarszych trzech klasach jednolitej szkoły. Pragnę jedynie (pomijając drobniejsze sprawy metodyczne) odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: jak nowy program ujmie historię literatury?

W dyskusjach polonistycznych tradycyjnie zwracano problematykę nauczania literatury do kwestii raczej dydaktycznych, do techniki pedagogicznej. Mniej natomiast wnioskano w społeczny i filozoficzny sens koncepcji programowych. Tymczasem sprawy programu nie można odrywać od rzeczywistych procesów ideologicznych epoki, i na obecny program nie wystarczy patrzeć jedynie z tego punktu widzenia, że zmienia on dobór lektury, że wymaga innej postawy dydaktycznej polonisty itp. W istocie wyrasta on z odmiennej niż w minionym dwudziestolecu koncepcji kultury, z odmiennego pojmowania przedmiotu i zadań nauk humanistycznych, z innej koncepcji człowieka. Dlatego trzeba tu nieco historii, aby zarysować właściwe perspektywy dla nowego pojmowania nauczania literatury w szkole.

W roku 1920 ukazał się podręcznik dla nauczycieli pt. „Rozbiór literacki w szkole”. Autorem jego był najwybitniejszy dydaktyk polonista w międzywojennym dwudziestolecu, Kazimierz Wójcicki. Pisał on na wstępie wspomnianej książki: „Dyskusja nad zagadnieniem, czy nauka literatury w klasach wyższych szkoły średniej ma polegać na kursie ciągłym historii literatury czy też na analizie dzieł literackich, dobiegła, zdaje się końca. Znakomita większość wybitniejszych jej uczestników zarówno u nas, jak gdzie indziej, we Francji, Szwajcarii, Niemczech, wypowiedziała się przeciw wykładowej historii literatury, za główne, a często jedyne zadanie szkoły uważając czytanie autorów...”

W roku 1924 na Zjeździe Polonistów autor najpopularniejszego podręcznika historii literatury, Ignacy Chrzanowski, bronił jeszcze praw historii literatury w szkole. (Wiemy, że utrzymała ona swoje stanowisko w programie ośmioletniej szkoły średniej).

W roku 1935 na Zjeździe Polonistów inny znany dydaktyk międzywojennego okresu, Władysław Szyszowski, tak rekapitułował dyskusję: „...spór, jaki się wówczas (1924 r.) toczył między prof. I. Chrzanowskim, a p. Wójcickim, z których jeden stał na stanowisku, że młodzież musi wiedzieć, że w Polsce byli tacy ludzie, jak Długosz, Morzecki, Niemcewicz, choćby się nawet żadnego wyjątku z dzieł ich nie czytało, drugi zaś godził się z faktem, iż „wolno uczniowi nie wiedzieć, że mieliśmy Zimorowiczów, Petrychów, Bohomolców, jeśli tylko obcował w głębi duszy ze szlachetnym słowem Kochanowskiego, jeśli nosił w zanadrzu

swego serca wyniosłe myśli i uczucia twórcy Dziadów, jeżeli zapalał wyobraźnię widzeniami Słowackiego, jeżeli zadumał się zadumą Asnyka, wsluchiwał w głos i pieśń Konopnickiej, Kasprzowicza” — dziś spór taki chociażby nawet powstał, spotkałby się, jak sądzę, ze zdecydowanym frontem polonistów-nauczycieli...”

Pomijmy patetyczną stylizację niektórych cytowanych wypowiedzi (poloniści mówią dziś na ogół prościej!). Chodzi tu o ich merytoryczny sens. Spór na temat „historii literatury czy literatury” był w praktyce szkolnej odzwierciedleniem walki między pozytywistyczną syntezą literatury a tendencjami antypozytywistycznymi („naukami o duchu”, Geisteswissenschaften).

Chrzanowski bronił zasadniczo pozytywistycznego pojmowania badań literackich, z ich dążeniem do szukania wzorów metodologicznych w metodach nauk przyrodniczych, z ich przerosłem elementem biograficznym, z ich ambicjami interpretacji przeżyć twórcy i czytelnika. Wiemy, że w praktyce szkolnej prowadziło to do nauczania młodzieży długiego szeregu nazwisk, tytułów, szczegółów biograficznych, do błędzenia po osobistych przeżyciach twórcy, do psychologizowania. Przeciwnicy tej metody wysuwali hasło autonomii badań humanistycznych, domagali się interpretacji dzieła literackiego ze względu na jego walory artystyczne i — w praktyce szkolnej — bronił słusznej zasady pogłębienia lektury arcydzieł, a nie tylko informacji o nich. Tak, ale programy oparte na syntezie pozytywistycznej dawały jednak wiedzę historyczno-literacką, choćby częściowo włączoną w nurt historii społeczeństw. Zwycięstwo antypozytywistycznych tendencji w badaniach literacko-naukowych przyniosło słuszną i płodną tezę, że nie można sprowadzać pojęć nauk humanistycznych do pojęć nauk przyrodniczych. Praktyka badawcza dała wiele cennych osiągnięć w dziedzinie oświecenia wartości artystycznych dzieła literackiego, ale w dalszym rozwoju prowadziła do przerosłów formalizmu, do stanowiska ahistorycznego. W szkole wystąpiły szczególnie jaskrawo konsekwencje grzechu pierwotnego syntezy antypozytywistycznej — uznanie prymatu poznania intuicyjnego. W praktyce nauczania języka polskiego widoczne to było w tendencjach antyracjonalistycznych i antyhistorycznych, w głoszonej zasadzie, że utwór literacki należy przeżywać a nie poznawać. Wydaje się, że tu jesteśmy u źródła tych nieporadnych sformułowań w wypracowaniach maturalnych, które wywołały słuszną krytykę na łamach „Wiś”. Ostatecznie trzeba bowiem sięgnąć w poszukiwaniu sprawy do programu, ostatniego programu licealnego przed wojną, który w przeważającej mierze kształtuje i dziś jeszcze poglądy nauczyciela i ucznia.

Był to program opierający nauczanie literatury na zasadzie następstwa chronologicznego. Ale ten historyzm był bardzo podejrzany gatunku. Nie szukano podłoża „prawd duchowych” w konkretnych, społeczno-gospodarczych procesach historii, ale tłumano

czono je po prostu, jako coś oczywistego. Historię literatury (jak całej kultury) wyznaczały nieokreślone bliżej prawa ducha, świat wartości idealnych. Kiedy jeden z maturzystów pisał, że „każdy kierunek umysłowy musi się przeżyć... tak stało się z romantyzmem, stracił siłę, urok i świeżość i przestał działać na dusze. Ludzie mieli dość fantazji i uczuciowości, a przy tym taknęli czegoś nowego” — jest to ostatecznie jedynie uczniowskie sformułowanie tezy o „odwiecznej walce” rozumu i uczucia w historii, tezy głoszonej zupełnie poważnie przez niektórych badaczy. Kiedy maturzysta oświadcza, że „dziś hasła pozytywizmu zostały całkowicie zastosowane do życia”, kiedy ideologię mieszczaństwa uznaje bezkrytycznie za ideologię rewolucyjnego proletariatu — to znów trzeba szukać winowajcy: program licealny mówił o „pozytywistycznym poglądzie na świat”, o „związku z myślą filozoficzną Zachodu”, ale nie troszczył się zupełnie o to, aby chociaż zwrócić uwagę na podłoże tych ideologii w rzeczywistych procesach dziejowych. Ostatni program przedwojenny, pozornie historyczny, nie uczył młodzieży historycznego myślenia.

Ewolucja programów nauczania literatury — to interesujące odzwierciedlenie dzieł myśli mieszczańskiej w ostatnich kilkudziesięciu latach. Charakterystyczne jest tu przede wszystkim wycofanie się z pozycji pozytywistycznego, racjonalistycznego optymizmu, kultu intuicji, koncepcja życia sprowadzająca prawdę o człowieku do wiedzy o jego świecie wewnętrznym, zawisłym od tajemniczych, irracjonalnych czynników. (Jastrun słusznie zauważył w cytowanym już artykule: „Antyracjonalistyczne, biologiczne, witalistyczne nurty w literaturze dwudziestolecia znajdowały w szkole swoje przedłużenie”).

W nowej sytuacji historycznej Polski, w okresie budowania nowego ustroju społecznego i zwycięstwa klasy robotniczej, niesposób było, oczywiście, wracać do koncepcji programowych dominujących w minionym dwudziestolecu. Antyhistorycyzm w nauczaniu literatury nie mógł być bliską naszej epoce, podobnie jak i antyracjonalistyczna teza, że wartość istotną posiada poznanie intuicyjne. Niesposób było również poznanie intuicyjne tradycji analizy formalistycznej. Oderwanie od historii oświecanie wartości artystycznych okazało się jednostronne z punktu widzenia poznawczego, niewystarczające ze względów społeczno-wychowawczych.

Ale, rzecz prosta niemożliwy był i powrót do teorii pozytywistycznych, do naturalistycznej koncepcji człowieka i kultury, do pozostawiania w kręgu problemów biografii i psychologii, bo to znieszczało historyczne myślenie młodzieży, omijało prawdę, że działalność artystyczna człowieka jest funkcją życia społecznego.

Zanim jednak powstała obecna koncepcja programowa, próbowano przystosować program dawnego liceum do potrzeb nowej szko-

ty. „Instrukcja w sprawie nauczania języka polskiego w liceum w roku szkolnym 1945/46” głosiła następujące wytyczne „przystosowania programu dawnego liceum do zmienionych warunków Polski współczesnej”:

1. Uwzględnić w naszej literaturze nie tylko jak dawniej element szlachecki, ale również „mieszczański, chłopski, robotniczy”.
2. Wysunąć w naświetleniu pozycji Polski w Europie „lekceważony dotychczas związek ze Słowiańszczyzną”. Instrukcja podkreśla szczególnie związki z Rosją, Ukrainą i Czechami, a następnie ze Słowiańszczyzną południową.
3. Podkreślić w rozważaniach naszego stosunku do Zachodu „filii literackie wiążące nas z Anglią i Francją oraz uwzględnić słabą zależność literacką od Niemiec”.
4. Uświadomić młodzieży „nie tylko cośmy od Europy wzięli, ale także cośmy jej dali” (Modrzewski, Sarbiewski, arianie polscy, Mickiewicz, Leleweł).
5. Uwzględnić „szczególnie silnie zagadnienie pracy jako czynnika kształtującego przede wszystkim pełnowartościowego obywatela, jak niemniej twórczą rolę warstw pracujących w kształtowaniu współczesnej kultury”.

Instrukcja nie stawiała jednak jasno sprawy **metody ujmowania zjawisk literackich w szkole**. Dawała ona polecenie: „w celu umożliwienia młodzieży właściwego zrozumienia tych dzieł i prądów należy przy charakterystyce danego okresu rozwoju kulturalnego uwzględnić jego podłoże gospodarczo-społeczne i polityczne”.

Jak wyglądała w praktyce realizacja tego zalecenia? Polonista mówił na lekcjach o stosunkach gospodarczo-społecznych, następnie rozważał zjawiska literackie nie ukazując właściwego powiązania procesów społecznych z ideologią i jej wyrazem artystycznym. W rzeczywistości instrukcja nie przeciwstawiała się skutecznie idealistycznemu traktowaniu podłoża gospodarczo-społecznego, nie odcinała się od popularnych twierdzeń „Taine’a”.

Praktyka ukazała niewystarczalność instrukcji w nowej szkole. Bo też nie o to jedynie chodzi, by mówić nieco więcej i cieplej o pisarzach postępowych, lecz by ukazać rzeczywisty, klasowy sens zjawisk literackich.

zgodnie z postulatami metody socjologiczno-marksistowskiej odkrywa nowe, szerokie horyzonty poznawcze i wychowawcze. Program ujmuje je przede wszystkim w dwóch punktach:

1. Pojęcie literatury jako artystycznej formy poznawania i opanowywania świata uczę myśleć historycznie, zjawiskom literackim nadaje po prostu życiowo społeczny sens, ułatwia rozumieć je w związku z innymi dziedzinami kultury. Tak pojęte nauczanie literatury staje się podstawą do budowania rzeczywistej wiedzy o świecie.
2. Nowe ujęcie historii literatury ma wartość wychowawczą. Uczyć myśleć historycznie, to znaczy uczyć i wychowywać w duchu rozumienia postępu, rozumienia konieczności tych zmian społeczno-politycznych, jakie zaszły w Polsce i w świecie, jakie będą odbywać się w przebudowie socjalistycznej świata. Wartość wychowawcza nowego programu — to również wydobycie zapomnianych, częstokroć świadomie dotychczas pomijanych tradycji literatury postępowej. Program przedwojenny wymieniał np. wśród pisarzy — publicystów Ludwika Popławskiego i Artura Górskiego, a pomijał (co tu wleć mówić — na pewno czynił to zupełnie celowo) odważną publicystykę tego samego okresu. Wacława Nałkowskiego i Ludwika Krzywickiego.

Program upomina się o zmianę hierarchii wartości literackich, zniekształconych przez krytykę tradycjonalistyczną. Wartość wychowawczą nowego programu — to również pogłębiony stosunek do tradycji kulturalnych, wydobycie z przeszłości tego, co było zaplanowane, żywe, twórcze. Zgodnie z prawdą dialektyki historycznej nie pomija program zjawisk wstecznych, ale uczy szanować i kochać to, co w przeszłości literackiej było czynnikiem postępu. W związku z tym występuje wyrabianie pozytywnego stosunku do epok, które w dziełach kultury europejskiej utrwały tradycje postępowe. Jest to

niewątpliwie słuszne ustalenie odpowiednich proporcji, jeśli w literaturze dawnej Polski na plan pierwszy program wysuwa epoki Odrodzenia i Oświecenia, jeśli podkreśla np. wartości pozytywne Odrodzenia: krytycyzm, walkę z autorytetami średniowiecza, zewszeczenie kultury, pochwałę radości życia.

Bardzo istotną troską nowego programu jest dążenie do wiązania młodzieży ze współczesnością. Stąd obok systematycznego kursu historii literatury znajdujemy w programie każdej klasy dział pt. „Współczesne życie literackie” z następującymi punktami:

1. „Lektura współczesnych czasopism społeczno-literackich. W związku z tym: odczytywanie i omawianie w klasie utworów poetyckich, krótszych fragmentów beletrystycznych, artykułów publicystycznych i przekładów prozy krytycznej.
2. Zainteresowanie młodzieży życiem współczesnej literatury przez informowanie o aktualnych zdarzeniach literackich, jak nagrody literackie, rocznice itp. Omawianie stosunku literatury do życia bieżącego.
3. Wprowadzanie literatury nowszej i współczesnej w aktualizującym ujmowaniu przeszłości...”

Jest to rzecz nowa w programie nauczania literatury w szkole; wymaga ona niewątpliwie specjalnego opracowania dydaktycznego, bacznej troski polonisty, aby nie przeprowadzać płytkiej aktualizacji, aby nie zestawiać powierzchownie dzieł, zdeterminowanych zupełnie odrębnymi procesami historycznymi, aby wybierać z bieżącej produkcji literackiej utwory o wysokiej wartości artystycznej. Twórcy programu mogą tu tylko wyrazić życzenie, żeby poezja współczesna darzyła szkołę najczęściej utworami tak klarownymi artystycznie i ideologicznie, jak piękna „Piosenka na rok 1949” Adama Ważyka ogłoszona niedawno w „Kuznicy”.

J. Lukacs

HUMANIZM W SZTUCE



Honoré Balzac
Portret Bertalla

Jest to fragment książki Jerzego Lukacsa, na temat „idealu człowieka harmonijnego”, z którym spotykamy się w historii sztuki. Autor, rozważa w niej przy tej okazji sprawę realizmu w sztuce. Wprowadzeniem w tym wypadku mogą być słowa Lukacsa, wyjęte z tej samej książki: „Goethe i Schiller zastanawiają się nad zagadnieniem możliwości harmonii w namiętnościach ludzkich. W kilkadziesiąt lat później problem ten stanie się podstawą systemu Fouriera...”

Hegel i Balzac, żyjący w tym samym okresie co Fourier, dostrzegają już sprzeczności kapitalistycznego podziału pracy i to znacznie wyraźniej i szczegółowej niż Goethe i Schiller w okresie swojej współpracy. Elegijny rys rezygnacji, towarzyszący wszystkim utopijnym nadziejom Goethego i Schillera, po- ciąga również Fouriera. Wielki myśliciel i wielki realista widzą z bezlitosną wyrazistością nieludzki charakter społeczeństwa kapitalistycznego, spostrzegają jego metody łamania wszelkiej ludzkiej harmonii w każdym człowieku i w każdym z przejawów jego życia. Hegel uważa estetyczną harmonię greckiego życia i sztuki za coś bezpowrotnie straconego: „Duch świata” opuścił sferę estetyki i zdążył w inną stronę. Proza okazała się najważniejszym elementem ludzkości a wielki realista Balzac wykazuje nadzwyczaj precyzyjnie, dlaczego społeczeństwo kapitalistyczne musi spłodzić dysonans i brzydotę we wszystkich przejawach życia ludzkiego, dlaczego wszystkie ludzkie aspiracje do pięknego i harmonijnego życia są podeptane przez ustrój społeczny. Prawdą jest, że można czasem spotkać

u Balzaca „wysepki” harmonijnych postaci. Nie są one jednak zarodkami jakiegoś chimerycznego i utopijnego odnowienia świata, a jedynie oderwanymi epizodami, „przypadkowym” wyratowaniem wybranych jednostek, które uniknęły zniszczenia przez kapitalizm.

W ten sposób bohaterka walka najlepszych przedstawicieli okresu rewolucji mieszczańskich, walka o ideał człowieka harmonijnego kończy się elegijną żałobą. Można bowiem jedynie opłakiwać bezpowrotną utratę warunków, które umożliwiłyby rozwój ludzkich dążeń i aspiracji w kierunku harmonii. Jedynie w tym wypadku, gdy krytyka społeczeństwa kapitalistycznego przechodzi w przecucie socjalizmu, elegijna żałoba ustępuje miejsca zakrojonym na wielką skalę, utopijnym marzeniom pierwszych założycieli socjalizmu.

Wielcy realiści z okresu rozwinętego już kapitalizmu — weźmy jako typowy przykład Balzaca — w miarę jak dochodzą wiary prawdzie, oblekają rzeczywistość w formy literackie, muszą całkowicie wyrzec się myśli o odtwarzaniu piękna życia i ludzkiej harmonii. Jeśli chcą być wielkimi realistami muszą oddać formę artystyczną jedynie takie życie, które pozbawione jest harmonii, a które zarazem beztłśnie łamie, psuje i upadla piękność i wielkość człowieka i, co gorsze, powoduje wewnętrzną jego deformację. Ostateczny rezultat, jaki mogą oni osiągnąć to wykazanie, że społeczeństwo kapitalistyczne jest wielkim cmentarzem zamordowanej autentyczności i wielkości ludzkiej, że w ustrój kapitalistycznym, jak to z gorzką ironią stwierdza Balzac, ludzie zostają albo kasperami, albo defraudantami, to znaczy albo eksploatowanymi głupcami, albo ładkami.

Odważne oskarżenie, będące charakterystyczną cechą twórczości tych pisarzy, odróżnia ich autentyczny realizm od wszelkiego idealizującego akademizmu, uciekającego od dysonansów życia. Mimo to, nawet w tych oskarżycielskich demaskowaniach społeczeństwa kapitalistycznego spotykamy się z rozbieżnościami, zależnymi od tego, w jaki sposób sztuka dochodzi do tego rezultatu. Twórczość artystyczna bądź to przyjmuje za swój punkt wyjścia zniszczenie człowieka, będące rezultatem kapitalizmu, bądź też obejmuje swoim zakresem również walkę z tym zniszczeniem, podkreśla wzni-

111
Czy realizację nowego programu przeprowadzą poloniści, którzy stawiali bardzo dobre oceny maturzystom, przedstawionym w artykule J. A. Króla?

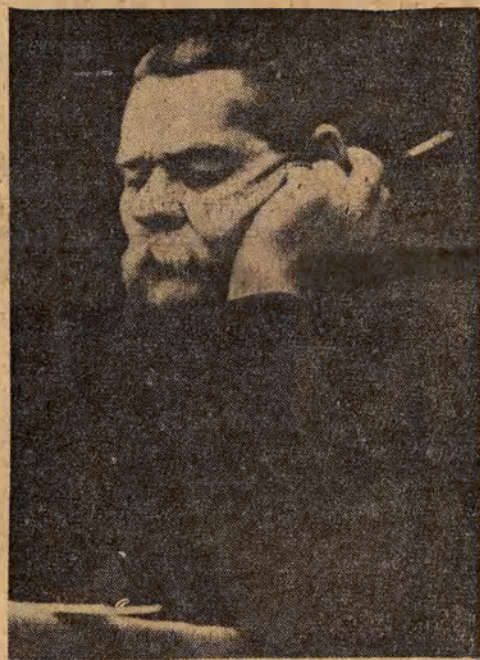
Nie oceniamy sytuacji (zgodnie z wnioskami red. Króla) zbyt pesymistycznie. Uczynią to i oni, ale trzeba im dać do ręki nowe podręczniki, nową syntezę literatury polskiej, nową sensowną konstrukcję wyjaśniającą. Szukajmy znów właściwego sprawcy: nie można oderwać nowego programu od reformy polonistyki uniwersyteckiej, od rewizjonizmu metodologicznego w naukach humanistycznych.

Miał rację Jan Kott, gdy pisał w końcu 1947 roku: „Ceterum censeo: bez uczonych, podręczników i historii literatury, i historii Polski nie zmienimy niczego w szkole średniej, ani też nie ruszymy z miejsca w robocie oświatowej”. Od tego czasu ukazało się kilkanaście prac, które ułatwią poloniście realizację programu. Ale to wszystko mało. „Coraz bardziej przenika do świadomości uczonych konieczność zerwania z dowolnością, przypadkowością pracy dydaktycznej — mówiła niedawno wiceminister Eugenia Krassowska (referat na plenarnym posiedzeniu Rady Głównej do Spraw Nauki i Szkolnictwa Wyższego cytuję według „Odrodzenia” nr 10 br.) — przekonanie, że nauczanie na wyższych uczelniach zarówno pod względem metod jak i treści programowych wiązać należy ściśle z potrzebami i zadaniami państwa w określonym etapie historycznym”.

Wydaje się, że nowy program nauczania literatury jest jednym z tych konkretnych zamówień społecznych. On sam, tworzy w bardzo trudnych warunkach, bo bez oparcia o wypracowaną w szczegółach nową syntezę historyczno-literacką, spotka się z niejedną korekturą. A polonista, przystępując do nowej pracy, czeka na zorganizowaną pomoc uniwersytetów i Instytutu Badań Literackich.

Zygmunt Jakubowski

Tłum. E. Mariuszewski



Maksym Gorki

sły charakter i piękno sił ludzkich, które, choć skazane na zagładę, buntują się z większym lub mniejszym skutkiem. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że mamy tu do czynienia jedynie z artystycznym aspektem tego problemu. Istotnie, nie ma tu miejsca na jakąś mechaniczną analogię między takim sposobem jego postawienia, a polityczną i socjalną rewolucją przeciwko kapitalistycznemu i imperialistycznemu barbarzyństwu. Wielu pisarzy lewicowych przyjmuje poniżenie i zniszczenie człowieka przez kapitalizm jako istniejący fakt. Są oni nim głęboko wstrząśnięci i nadają swemu oburzeniu wyraznie piętno artyzmu, przedstawiając i demaskując go w całej jego straszliwej rozciągłości. Są jednak również tacy, u których bunt początkowo nie posiada wyraźnego charakteru politycznego i społecznego, a którzy mimo to odtwarzają z wielką wyrazistością tę codzienną, niemal „co-godzinną” walkę z kapitalistycznym otoczeniem, którą muszą prowadzić ówczesni ludzie, aby zachować swoją człowieczeńską integralność. Każdy z nich jest skazany w tej walce na klęskę, jeśli jest zdany jedynie na własne siły. Może zwyciężyć tylko wtedy, jeśli odnajdzie żywy kontakt z siłami ludowymi, dającymi gwarancję ostatecznego zwycięstwa humanizmu na płaszczyźnie gospodarczej i politycznej, społecznej i kulturalnej.

Gorki został niewątpliwie współczesnym pisarzem literatury światowej

dzięki temu, że ten kontakt z siłami ludowymi osiągnął w jego dziełach szczególnie wykończoną formę artystyczną. Nigdy jeszcze okropność życia w społeczeństwie kapitalistycznym nie została tak prawdziwie obnażona, nigdy nie została odmalowana tak ponurymi kolorami, a mimo to jednak ostateczny wynik jest u niego inny niż u większości współczesnych i to nawet wybitnych pisarzy. Gorki bowiem nie wskazuje nigdy bezpośrednio wyniku zaprzepaszczenia przez kapitalizm i pod wpływem kapitalizmu. Pokazuje raczej to, co z jego powodu zginęło oraz sposób, w jaki zostało to dokonane, charakter walki. Pokazuje on piękno ludzkie, organiczne dążenie do harmonii, do rozwijania wrodzonych możliwości stłumionych, zdeformowanych, zaprzepaszczonych, nawet u najgorszych okazów rodzaju ludzkiego. Oskarżenia jego stają się silne i znajdują tak głośne echo właśnie dlatego, że na naszych oczach pokazane jest zalamanie się żywych aspiracji do piękności i harmonii.

Droga, którą wskazuje Gorki, przyjmuje poza tym konkretną formę artystyczną. Znaczący to, że pokazuje on, w jaki sposób robotniczy ruch rewolucyjny, w jaki sposób powstanie całego ludu ROZBUDZA CZŁOWIEKA, rozwija go, przyczynia się

do rozkwitu jego życia wewnętrznego, daje mu uświadomienie, siłę i delikatność.

W tym właśnie punkcie zasada twórczości artystycznej przechodzi na płaszczyznę polityczną i społeczną. U nikogo wśród ówczesnych pisarzy bunt przeciwko staremu nie jest tak pobudzający a patos nowego tak entuzjastyczny, jak właśnie u Gorkiego.

Ten bunt, ten patos zwycięstwa, pokazane z punktu widzenia żywego człowieka — posiadają jedno jedyne znaczenie, na które już poprzednio położyłem nacisk: **NIE KAPITULOWAĆ PRZED KAPITALIZMEM W DZIEDZINIE SZTUKI!** Bez wątplenia jasność spojrzenia artystycznego i politycznego znajdują u Gorkiego punkt styczności. Fakt ten wcale nie jest jednak mechaniczną koniecznością. Ściśle rzecz biorąc wystarczy radykalizm o nieco słabszych podstawach filozoficznych i artystycznych, by popaść w poszukiwania natychmiastowej, szybkiej i szerokiej możliwości osiągnięcia wyników, by wpaść w sidła martwego i zabójczego fetyszyzmu. Poza tym wrogość w stosunku do sztuki kapitalistycznej nie jest jednostronna. Każdy prawdziwy artysta — bez względu na to, czy zdaje sobie z tego sprawę czy też nie — musi być wrogiem ustroju kapitalistycznego jako

twórca ludzi, jako pragnący pokazać swym czytelnikom ludzi bogatych i pełnych. Może on się uważać za chwilowo „niezaangażowanego”, może szukać kryjówek w sceptycyzmie, może nawet uważać się za konserwatystę. Jego niesfałszowany bunt wyrośnie na płaszczyźnie artystycznej, o ile tylko zbyt wielki brak społecznej i intelektualnej jasności widzenia nie przemieni tego oburzenia w romantyczną reakcję przeciwko postępowi ludzkiemu.

Gdy chodzi o obronę podeptanej godności ludzkiej, o obronę istotnej wartości skrópowanego człowieka Anatole France jest bardziej radykalny i bardziej odważny niż Zola, młody Sinclair Lewis bardziej zdecydowany niż Upton Sinclair a Tomasz Mann bardziej niż Dos Passos. Nie jest to kwestia przypadku, że większość wybitnych realistów naszych czasów (będących nimi właśnie dlatego, że bunt ich jest prawdziwie głęboki, dlatego, że naprawdę nienawidzą zbrodniczych założeń ustroju i nie ozdabiają bezwładnych schematów formalistycznymi dekoracjami) większość ich ponad sztuką znalazła drogę, która prowadzi do ludu. Znajdują się wśród nich Romain Rolland, który zaangażował się bodaj najbardziej zdecydowanie. Również drogi rozwoju Henryka

i Tomasza Mannów oraz wielu innych powinny skłonić pisarzy postępowych do refleksji na ten temat. Ten bunt najlepszych realistów jest najbardziej charakterystycznym wydarzeniem w sztuce współczesnego świata burżuazyjnego. W okresie tym, mało sprzyjającym wszelkiej działalności artystycznej, która obnaża schyłek kultury mieszczańskiej, bunt ten daje początek wysokowartościowej sztuce. Aby móc osądzić to, co łączy najlepszych przedstawicieli tego niesfałszowanego realizmu z wielkimi tradycjami przeszłości, nie jest rzeczą konieczną wiedzieć, w jakim stopniu świadomie kultywowane tradycje wywierają wpływ na poszczególnych twórców. Mogą one grać dużą rolę (jak na przykład u Romain Rollanda czy Tomasza Manna), decydującym jednak jest więź obiektywna, obiektywna kontynuacja największych problemów humanistycznych poprzedniego rozwoju ludzkości. Jest to kontynuacja, nawiązująca łączność ze specyficznymi i aktualnymi warunkami naszych czasów. W naszym przypadku jest to zwalczanie w kulturze kapitalistycznej tego, przeciwko czemu wielki artysta winien się zbuntować w obronie swojej sztuki.

J. Lukacs
R. 1938

Konstanty Grzybowski

REALNA I NIEREALNA POLITYKA WOBEK NIEMIEC

Pozory, fasady konstytucyj, partii politycznych, polityki okupanta zachodniego, zasłaniają niezmiennie często rzeczywistość niemiecką. Skłaniają do zdania — słusznego tylko w pewnym stopniu i do pewnego czasu, jakoby po czterech latach okupacji zarysował się ostry i trwały podział na dwa społeczeństwa niemieckie: wschodnie, zmierzające ku socjalizmowi, zdenazyfikowane, pokojowe, i zachodnie o niezłamanych wpływach hitlerowskich, kapitalistyczne, zaborcze. Sądzę, że rzeczywistość jest nieco odmienna. W Niemczech jako całości zaszły zmiany, od polityki okupantów niezależne, które powodują, że powojenne Niemcy muszą być czym innym, niż Niemcy przedwojenne. Zmiany takie same na zachodzie jak i na wschodzie Niemiec. Różnica między zachodem i wschodem polega zaś na tym, że polityka okupanta radzieckiego pozostaje w zgodzie z tymi zmianami — i także dlatego jest postępową. Polityka okupantów zachodnich zaś działa tak, jakby te zmiany nie zaszły — i także dla tego reakcyjna.

*

Zmiana pierwsza — to zasadnicza zmiana w strukturze demograficznej narodu niemieckiego, w jego sile biologicznej. Pozornie Niemcy stali się w jeszcze wyższym stopniu niż przed wojną „narodem bez przestępstw” — wszak na obszarze, na którym przed rokiem 1939 mieszkało niecałe 60 milionów ludności, dziś mieszka przeszło 65 milionów (a wedle obliczeń niemieckich po powrocie jeńców wojennych i zakończeniu akcji przesiedleńczych będzie około 69 milionów). Pozornie jeszcze mniejsza przestępstwo ziemi musi żywić jeszcze większą liczbę ludności. Ale tylko pozornie, tylko chwilowo. Procentowy stosunek do siebie poszczególnych klas wieku, procentowy stosunek mężczyzn do kobiet, zmiany w przyroście ludności wskazują, iż jest to zjawisko tylko chwilowe. A równocześnie wskazują, że ilość Niemców w wieku zdolności do pracy jest mniejsza niż przed wojną — tak że gdyby Niemcy posiadały nawet większe tereny — nie miałyby ludzi, którzy by mogli na nich pracować.

a) W r. 1910 mężczyźni w wieku od 20 do 40 lat stanowili blisko 31% ogółu mężczyzn, w r. 1946 — tylko 21%. Rocznie zdolne do pracy są najbardziej przereźdzone. Najwybitniejszy dziś niemiecki demograf-statystyk Sauermann oblicza, iż w miejsce 22 milionów zdolnych do pracy mężczyzn (rok 1939) mają ich dziś Niemcy tylko niecałe 17 milionów, a w rocznikach 25 — 30 lat stracił 60% mężczyzn zdolnych do pracy. Niemcom nie grozi bezrobocie z powodu utraty ziem wschodnich, Niemcom grozi brak rąk do pracy mimo

utraty ziem wschodnich. A równocześnie zmniejszona liczba mężczyzn w wieku płodności wyklucza odrobienie tego braku w przyszłości.

b) Nie zaradzą mu również roczniki najmłodsze. Mężczyźni poniżej 14 lat stanowili w r. 1910 — 32% ogółu, stanowili w roku 1946 — 26% ogółu — a są to roczniki nietknięte przez bezpośrednie straty wojenne. Te roczniki, po doświadczeniu do wieku zdolności do pracy i do wieku płodności nie potrafią uzupełnić strat biologicznych Niemiec, nie potrafią zapewnić nawet tego stanu rzeczy, by ludność Niemiec nie malała¹⁾.

c) Na ludności tej natomiast ciąży w o wiele wyższym stopniu niż dawniej ciężar utrzymywania osób niezdolnych do pracy. Raz z powodu wyższego odsetka ludzi podeszłego wieku. Mężczyźni powyżej 65 lat życia stanowili w roku 1910 4% ogółu ludności (kobiety — 5%), stanowili w roku 1946 — 9% ogółu ludności (kobiety również 9%). Doliczyszy do tego inwalidów wojennych, wyżej wspomniany Sauermann dochodzi do wniosku, iż w roku 1939 na jednego pracującego Niemca wypadał jeden niezdolny do pracy (z powodu zbyt niskiego lub zbyt podeszłego wieku) dziś zaś — dwóch niezdolnych do pracy. Nie można nie doceniać wpływu tego zjawiska, na stopę życiową społeczeństwa.

Konkluzja: Niemcy już dziś nie mają tylu rąk do pracy, ile wymaga zagospodarowanie tych obszarów, które im pozostały. Niemcy weszli w okres dekadencji ludnościowej. Już przed r. 1939 uczeni niemieccy (Burgdorffer) przewidywali, że ludność Niemiec zacznie spadać od r. 1950. Dziś Sauermann koryguje obliczenia przedwojenne w uwzględnieniu strat wo-

jennych i stawia tezę, iż w ciągu najbliższych lat pięćdziesięciu ludność Niemiec może spaść do połowy obecnego stanu.

*

Utrzymanie podstaw dla społecznej akcepcji kapitalizmu jest możliwe tylko przy istnieniu mitu, iż kapitalizm zapewnia każdemu możliwość wybiecia się. Społeczną podstawą tej mistyfikacji jest zaś istnienie silnych klas pośrednich, stwarzających pozory łagodzenia walki klasowej. I jedno i drugie w Niemczech nie istnieje. Pierwszy cios zadała klasom pośrednim inflacja niemiecka lat 1919—1924, będąca w istocie wielkim wywłaszczeniem drobnego rentiera, drobnego rzemieślnika, drobnego kupca przez wielki kapitał niemiecki. Drugi cios zadała mu polityka gospodarcza hitlerizmu, popierająca w sposób niezmiennie intensywny koncentrację wielkokapitalistyczną. Trzecim ciosem stały się skutki klęski w II wojnie światowej. W rezultacie nawet szacunkowe obliczenia angielskie stwierdzają, że w wyniku II wojny światowej oraz jej skutków, klasa średnia niemiecka stopniała przeszło o połowę i kurczy się coraz bardziej — przed 1939 stanowiła jeszcze niewiele mniej niż 1/3 ogółu ludności, dziś spada na około 15% ogółu (w strefach zachodnich). Niemcy stały się krajem o niesłychanie szczupłej klasie wielkokapitalistycznej, o niesłychanie licznej i coraz bardziej rosnącej masie proletariackiej i coraz bardziej niksających klasach pośrednich.

*

Oczywiście — istnieją kraje o tego rodzaju strukturze społecznej. Ale będą to albo kraje eksploatujące inne społeczeństwa, albo kraje eksploatowane przez in-

ne społeczeństwa. Z jednej strony więc będą to kraje wielkiego monopolu kapitału, żyjące z eksploatacji ludności własnych kolonii politycznych i gospodarczych, odrzucające własnemu swemu proletariatu skromne okrucy z eksploatacji proletariatu własnych kolonii i dzięki temu bądź powstrzymujące — do czasu — powstanie antykapitalistycznych stronnictw proletariackich (jak w Stanach Zjednoczonych), bądź stwarzające przy pomocy tych części proletariatu, które uległy wpływom drobnomieszczańskim, stronnictwa z nazwy socjalistyczne, z istoty swej demokratyczno-drobnomieszczańskie, z funkcji społecznej, którą w istocie spełniają, podtrzymujące kapitalizm przy pomocy pseudo-socjalistycznej mistyfikacji (jak np. w Anglii).

Z drugiej zaś strony mamy ten sam typ struktury społecznej w krajach eksploatowanych przez kapitalizm monopolistyczny. Tu znowu mamy szczupłą warstwę wielkokapitalistyczną własną (w istocie wielki kapitał, poza rolnym, jest prawie w całości w rękach obcych), wielkie masy proletariatu, najczęściej rolnego, bezwzględnie eksploatowanego, utrzymywanego w posłuszeństwie przy pomocy obcego aparatu rządzącego, obcej armii i pewnej części własnych klas pośrednich tego eksploatowanego kraju. To typ kolonii politycznych jak Indie i kolonii gospodarczych obcego kapitału, jak Polska, jak kraje bałkańskie przed 1939 — w tych ostatnich z tą różnicą, że funkcje obcego żandarma pełnią własne faszystowskie lub faszystujące rządy.

Wyda się, że okupanci anglosascy, zwłaszcza decydujący okupant amerykański, chcą swą część Niemiec przekształcić w kraj tego typu. Wskazuje na to szereg faktów. A więc nie chcą oni oznaczyć czasokresu okupacji — bo przyczyną okupacji



J. D. Rockefeller



Dla kogo pracuje przemysł Zagłębia Ruhry?



J. P. Morgan

¹⁾ Dane z artykułu dr. S. Waszaka, w zeszytach styczeńowym „Państwa i Prawa”, poświęconym specjalnie zagadnieniom niemieckim.

nie jest likwidacja hitlerizmu, ale dostarczenie narzędzia dla panowania kapitału amerykańskiego w Niemczech. A więc nie chcą reformy rolnej — bo praktyka wykazała, że warstwa obszarowa jest najlepszym sojusznikiem obcego wielkiego kapitału. A więc nie chcą nacjonalizacji górnictwa i przemysłu niemieckiego — bo kapitał amerykański już w nim posiada wielki udział i pragnie go nadal powiększać. Niemcy mają być w środku Europy krajem, spełniającym wobec kapitału amerykańskiego tę samą funkcję, jaką spełniają dziś wobec tego kapitału kraje Ameryki

Południowej, jaką spełniały długo Indie wobec Anglii, jaka była przewidziana dla Chin Czang-Kai-Szeka.

*

I tu — sądziłbym — tkwi najistotniejsza przyczyna niemożności porozumienia się między radzieckim a anglosaskim programem Niemiec. Polityka radziecka jest polityką realistyczną i polityką niemiecką. Była realistyczna, gdy poparła polskie żądania w sprawie naszych granic zachodnich, bo żądania te były w interesie pokoju, a dla Niemiec z ich strukturą demo-

graficzną nie były żadną katastrofą. Była realistyczna, gdy dopomogła Niemcom wschodnim przy wejściu na drogę do socjalizmu — bo było to uzasadnione i w interesie pokoju (zniszczenie imperialistycznych klas junkierskich i wielkoprzemysłowej) i było uzasadnione strukturą społeczną Niemiec, nie dającą oparcia dla utrzymania kapitalizmu. I jest niemiecką — bo uważa za swe zadanie likwidację wpływów faszystowskich, wychowanie Niemiec do demokracji — a po dokonaniu tego powrót ich do samodzielnego zawiadywania swymi sprawami. Pomyłka

zaś w rachunku amerykańskim jest przypuszczenie, że można w środku Europy, w kraju wysoce uprzemysłowanym, o licznych i klasowo uświadomionych proletariacie, stosować trwale te same metody, co w Ameryce Południowej, czy w Indiach, czy w Chinach. I tylko przez jakiś czas może liczyć na powodzenie mistyfikacja, iż „wychowanie do demokracji” jest identyczne z wychowaniem do spełniania funkcji, wskazanych przez amerykańskie koncerty. Ale na długą metę taka polityka musi zawieść.

Konstanty Grzybowski

Witold Łukaszewicz

Emigracja po powstaniu listopadowym (1831—1834)



Joachim Lelewel

I

OGÓLNA CHARAKTERYSTYKA EMIGRACJI

W październiku 1831 r. znalazło się w Galicji i zaborze pruskim łącznie około 50 tys. wojska powstańczego, które schroniło się tam w różnych okresach walki, uchodząc przed zemstą cara Mikołaja I. Część oficerów i żołnierzy zaufała carskiej amnestii i wróciła do zaboru rosyjskiego, większość korpusu oficerskiego oraz wielu wiarusów postanowiła udać się na emigrację. Ocy ich były zwrócone na Francję, z którą wiązały Polaków żywe wspomnienia czasów napoleońskich i nęcia wizji nowych legionów. Rząd francuski pod naciskiem społeczeństwa sprzyjającego emigrantom udzielił zasiłków dla internowanych w Austrii i Prusach powstańców na podróż do Francji.

Władze austriackie i pruskie starały się utrudniać Polakom przedostanie się na Zachód, zmuszając ich nieraz siłą do przyjmowania carskiej amnestii i do powrotu na teren zaboru rosyjskiego. Szczególną brutalnością w stosunku do żołnierzy-powstańców odznaczali się Prusacy. W Elblągu szarżowali na bezbronną żołnierz polski pruscy husarzy, w Fischau wiano Polaków salwami piechoty, aby zmusić ich do powrotu do Królestwa Polskiego. Najcięższe koleje przechodziła grupa podoficerów i żołnierzy, skazana przez władze pruskie na przymusowe roboty forteczne w twierdzy Grudziądz, którą zwolniono z katorgi dopiero w końcu 1833 r.

Przemarszem emigrantów przez kraje niemieckie w drodze na Zachód kierował gen. Józef Bem przy finansowym poparciu komitetów pomocy: Franko-Polskiego pod prezydencją gen. Lafayette'a i Amerykańsko-Polskiego, któremu prezesował zasłużony Samuel Howe. Demokratycznie usposobiona ludność niemiecka, szwajcarska i francuska witała entuzjastycznie tułaczy polskich, wielbiąc w nich bojujących wolności przeciw despotyzmowi Św. Przymierza. W sercu emigrantów polskich zaczęła wstępować pod wpływem tych objawów braterstwa rewolucyjnego wiara w rychłe odrodzenie się Polski za sprawą i przy współdziałaniu ludów.

Wychodźstwo polskie liczyło od 9 do 10 tys. osób, było więc, jak na owe czasy, dość liczne. O wiele ważniejszą rzeczą od liczby emigrantów była ich jakość. Na emigracji znaleźli się najlepsze, najczynniejsze, najbardziej i najbardziej wpływowo jednostki społeczeństwa szlacheckiego, które kierowało powstaniem, a więc członkowie rządu, sejmiku, administracji cywilnej, zasłużeni wojskowi od wodzów do szeregowców, młodzież akademicka głównie z Litwy i Rusi, adwokaci, lekarze, dziennikarze, poeci itp.

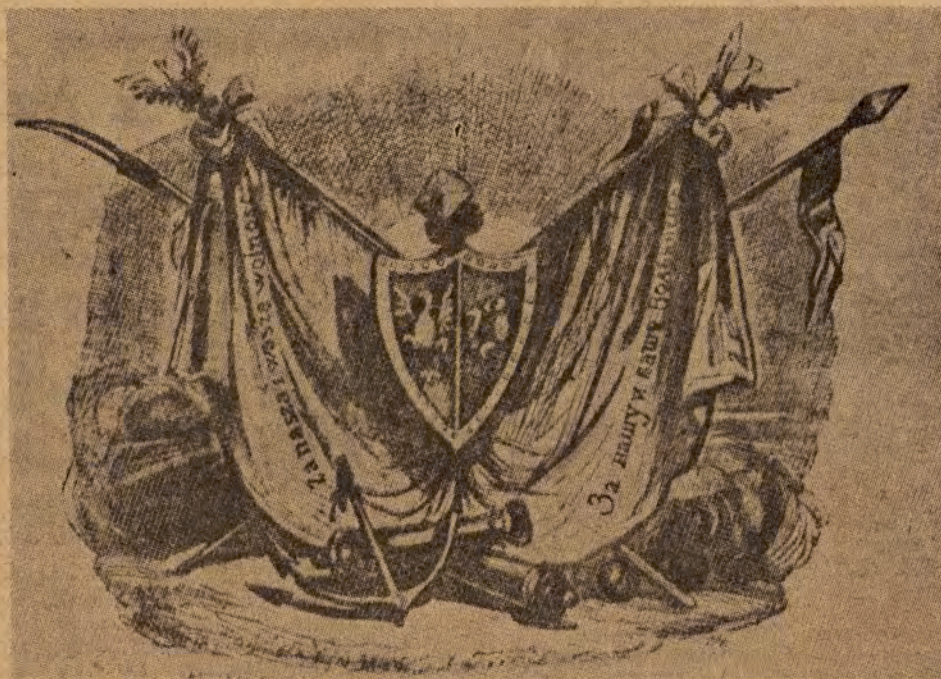
Gdy stanęli nasi wędrowcy na ziemi francuskiej, pozbyli się rychło złudnych nadziei pokładanych w rządzie króla bankierów — Ludwika Filipa. Zrozumieli, że byli ludźmi o ograniczonych prawach obywatelskich, narażeni na zniewagi ze strony francuskich władz cywilnych i wojskowych, zagrożeni wydaleniem w drodze administracyjnej lub więzieniem za sprzeciw woli rządowej. Bur-

żaszka rządząca Francją tzw. „juste milieu” (środek) była zadowolona, że nareszcie porządek zapanował nad Wisłą. Zgasił płomień rewolucji polskiej, który nabawił strachu cara-samodzierżcę, burżuazja francuska lekając się nowej rewolucji u siebie nie chciała korzystać ze strachu Mikołaja I i udzielić pomocy polskim sankiulotom w kontuszach. Ambasador Mikołaja, Pozzo di Borgo, nadawał ton tchórzliwej polityce zagranicznej i wewnętrznej Ludwika Filipa, korzystając z poparcia przedstawicieli dyplomatycznych Prus i Austrii. Św. Przymierze uchwyciło za gardło wszelką myśl wolnościową we Francji i usiłowało ją zdusić, zanim by zdążyła zejść do podziemia. Francja traciła na swej opinii w oczach uciemiężonych ludów: gościł nimb barykad lipcowych 1830 r., głuchł śpiew bojowy „Marsylianki”, porządek panował w Warszawie, miał on również przez lat siedemnaście zaciskać obroż na szyi Francuzów.

Emigrantów polskich, przybywających do Francji na przełomie 1831/32, skierowano do koszar na prowincji, tzw. Zakładów (dépôts). Zabraniano im osiedlać się w Paryżu w obawie przed rozruchami. Cywilnych kierowano do zakładu w Châteauroux, wojskowych umieszczono w zakładach: w Avignon i Besançon, wyznaczając wszystkim specjalny zasiłek miesięczny, zwany „zoldem”. Komitety francusko-polskie niosły dla emigrantów wydatną pomoc w odzieży i w pieniędżach. Napływały także ofiary ze Szwajcarii, Belgii, Rzeszy Niemieckiej, Szwecji, Norwegii i Stanów Zjednoczonych AP.

Emigracja polska przechodziła przez dwie zasadnicze fazy nastrojów, z którymi wiąże się ściśle geneza obozów politycznych i ich programów. Pierwsza faza obejmuje lata 1831—1834; cechuje ją powszechna wśród większości wychodźstwa polskiego wiara w rewolucję europejską z udziałem ludów: francuskiego, polskiego, włoskiego i niemieckiego. Wystąpiła ona solidarnie przeciw tyrańskim rządóm i obalą je. Polska powstanie za sprawą rewolucjonizowanych ludów. Część emigracji, konserwatywna, skupiająca się wokół księcia Adama Czartoryskiego, nazywana „arystokracją” przez demokratów, stawiała na konflikty dyplomatyczne między Św. Przymierzem a Anglią i Francją i wiązała odrodzenie Polski z wybuchem wojny. Zamykała też fazę bolesne rozczarowanie: przysły nadzieje na europejską rewolucję; podejmowane próby wywołania powstania w zaborze rosyjskim, we Frankfurcie n. Menem, Sabaudii, Lyonie i Paryżu (1833—1834) skończyły się niepowodzeniem. Musztrując się po zakładach emigracji polscy zaczęli zamieniać regulaminy wojskowe na rozprawy Babeufa, Saint-Simona, Bucheza, Fouriera, Lamennais, rozczuliwając się w opisach Rewolucji Francuskiej i pióra utopijnego komunisty Laponneraye'a. Żołnierzy-tułaczy polski przeobraził się w emigracyjny polityka, tworzył „ustawy” dla rodzycyń się, jak grzyby po deszczu, stowarzyszeń wychodźczych, wydawał szumne odezwy, stawał na porządku obrad zgromadzeń zakładowych zagadnienia odpowiedzialności za upadek powstania. Rozgoryczali go złudy dyplomatycznych konfliktów, nie chciał iść na mięso armatnie do Algieru, Portugalii, Egiptu, Hiszpanii, dokąd go pchano siłą fizyczną i pieniędzy lub błędną radą. Nie chciał być kondotierem, bo rozumiał, że krew emigranta należy się Polsce, że nad Wisłą wolno ją jedynie bez obrazy godności tułaczkiej przelewać. Rewolucję chciał nieść na ziemię polską, rewolucję — z udziałem wszystkich Polaków bez różnicy stanu i wyznania. Przed spłakany oczyma większości emigrantów majaczyła się Polska nowa, bez króla, szlachty i pańszczyzny, wolna — „gminowładna”.

Druga faza obejmuje lata 1834—1840. Cechuje ją wyraźne wyodrębnienie się programowe stronnictw emigracyjnych w czterech zasadniczych kierunkach: 1) republikańsko-narodowym (lelewelski); 2) demokratyczno-ludowym (Tow. Demokratyczne Polskie); 3) utopijno-komunistycznym (Lud Polski z gromadami „Grudziądz” i „Humań”) i 4) monarchistyczno-konstytucyjno-zachowawczym (czartoryszczy — Hotel Lambert). Wszystkie wymienione obozy dążyły do niepodległości Polski, lecz różniły się przede wszystkim poglądami na jej ustrój społeczno-polityczny i metodami działania. Znamionuje ten okres silna działalność agitacyjna na emigracji i zawiązywanie sieci spiskowej



„Za naszą i waszą wolność”
(winjeta z „Orla Białego” r. 1839)

w kraju z zamiarem wywołania ogólnopolskiego powstania.

FORMOWANIE SIĘ ZWIĄZKÓW EMIGRACYJNYCH W LATACH 1831—1834

W Paryżu zaczęły najpierw powstawać zręby organizacyjne emigracji polskiej. 6 listopada 1831 r. Bonawentura Niemojowski powołał wraz z 26 emigrantami Komitet Tymczasowy Emigracji, w którym objął prezesurę. Prócz niego weszli do Komitetu: Teodor Morawski, Franciszek Wołowski, Kantorbery Tymowski i Joachim Lelewel. Większość w Komitecie tworzyli ludzie umiarkowani, byli dygnitarze sejmowi i rządowi. Jedynie Lelewel reprezentował lewicę powstańczą i emigracyjną. Komitet Niemojowski określił sobie zadania natury administracyjnej, troszcząc się przede wszystkim o zapewnienie pomocy materialnej dla wychodźstwa i unikając mieszania się do polityki. Żywot Komitetu był krótki. Zaatakowali go gwałtownie byli klubiści z Towarzystwa Patriotycznego z Maurycem Mochnickim na czele (broszura: „Do rodaków bawiających w Paryżu”), domagając się usunięcia z Komitetu tych „co zgubili Polskę”.

15 grudnia 1831 r. Komitet Niemojowski ustąpił miejsca nowej władzy, wybranej przez „Ogół” emigrantów przebywających w Paryżu. Nowy Komitet przyjął nazwę Komitetu Narodowego Polskiego, jego prezesem został Joachim Lelewel. W skład Komitetu weszli: Walenty Zwierkowski, Leonard Chodźko, Roman Sołtyk, Tadeusz Krepowicki, Karol Kraitsir, Antoni Przeciszewski, Antoni Hluszniewicz, Adam Gurowski jako członkowie, skarbnikiem został Karol Edward Wodziński, sekretarzem Walerian Pietkiewicz. Wymienione osoby stanowiły radykalny ołd emigracji.

Joachim Lelewel był osobą centralną w Komitecie. Maurycy Mochnicki, najzdolniejszy nasz publicysta z doby powstaniowej, nazywał Lelewela „rozmnożycielem i patronem rewolucyjnych przekonań”. Nazwa ta była uzasadniona. Joachim Lelewel był człowiekiem wybitnym, światowej sławy uczyń, ostrożnym aż do przesady w działaniu, lawirował w polityce, lubił intrygować. Z przekonania był szczerym demokratą i republikańcem, konspirowanie przeciw despotyzmowi uważał za część swego jestestwa. Polskę pojmował jako demokratyczną republikę federacyjną, opartą na unii dobrowolnej narodów: polskiego, litewskiego i ruskiego i urządzoną na zasadach tzw. gminowładztwa, które tłumaczył jako ustrój bezstanowy u pierwotnych Słowian. Stąd wyprowadzał Lelewel teorię o pierwotnym obywatelstwie chłop polskiego, o wspólnym władaniu ziemią, która była „nie moja, nie twoja, ale nasza mirska, ziemia ludu, święta”. Autorytet naukowy i wrodzona u Lelewela niechęć do arystokracji i przywilejów wyniosły go szybko na czoło tułactwa pol-

skiego na Zachodzie i uczyniły głośnym w kraju i Europie.

Komitet Lelewela stał się ośrodkiem propagandy demokratyzmu i republikańizmu wśród emigrantów i rodaków pod zaborami. Zwolenników Lelewela nazwano w żargonie emigracyjnym „lelewelistami”. Lelewelsi-republikańcy nie okazywali jednak jednolitości ani pod względem społecznym, ani programowym (ideowym). Rekrutowali się głównie spośród młodzi oficerskiej i żołnierskiej na emigracji oraz niezamożnej szlachty i mieszczan w kraju. Pod względem ideowym tworzyli lelewelski mozaikę: od liberalnych konserwatystów do skrajnych rewolucyjnych demokratów. Różnorodność żywiołów, które składały się na oboz Lelewela sprawiła, że był on szkołą, z której wzięły początek różne organizacje emigracyjne demokratyczno-republikańskie.

Komitet Lelewela zainstalował się na trzecim piętrze w gmachu przy ulicy Taranne 12, w którym mieściły się również biura Komitetu Franko-Polskiego gen. Lafayette'a. Tu odbywały się zebrania „Ogółu” paryskiego, na których namietnie dyskutowano na tematy społeczno-polityczne i roztrząsano przyczyny upadku powstania listopadowego. Od miejsca obrad przenoszono Komitet Lelewela „Taranem”. „Taran” lelewelski stał się w życiu emigracji kuźnią ideologii demokratycznej, republikańskiej i socjalistyczno-utopijnej.

W przeciwnieństwie do Komitetu Niemojowskiego Komitet Lelewela postawił sobie za cel „czuwanie nad interesem narodowym”. Dla jego osiągnięcia łączył się z lewicą francuską i europejską przeciw absolutyzmowi monarchów Św. Przymierza i Ludwikowi Filipowi, rzucał hasła powstania ludów przeciw królom; Europę dzielił na dwa wrogie obozy: pierwszy — postępu i wolności, ludowy, demokratyczny; drugi — despotyzmu i przywilejów feudalnych. W odczuwaniu Węgrów, Niemców, Włochów, do prezydenta i społeczeństwa amerykańskiego, do parlamentu angielskiego i francuskiego, Komitet lelewelski podkładał nieprzekładowe prawa Polaków do niepodległości i prosił o ich uznanie i poparcie. Równoległe z tą akcją zewnętrzną-propagandową szła wewnętrzna, zmierzająca do uchronienia przybywających do Francji grup emigracyjnych tzw. kolumn przed wpływami obozu czartoryszczyków, który przez swych zaufanych, głównie gen. Bema, chciał użyć wychodźców polskich do formowania legii pod obcymi sztandarami. Kaptowanie emigrantów przez Komitet Lelewela stało się powodem ostrego konfliktu między nim a gen. Bemem i jego poplecznikami — konserwatystami, do których zalicza się emigracyjna starszyna oficerska.

Tymczasem organizowały się zakłady w Avignon, Besançon, Châteauroux, Bourges, wyłaniając tzw. „Rady” i „Ogół”, które miały czuwać nad wszystkimi sprawami danego skupiska emigrantów. Rząd francuski rozciągnął surowy nadzór policyjny nad zakładami i ograniczył swobodę ruchów poszczególnych emigrantów. Komitet Lelewela ustawał rozciągnąć swą władzę nad całą emi-

W NASTĘPNYM NUMERZE „WSI”
„NIEZNANE LISTY JOACHIMA LELEWELA”

gracją i podporządkować sobie Rady zakładów. Akcja Lelewela spotkała się z gwałtownym oporem konserwatywnych kół wojskowych i cywilnych, które domagały się wyboru nowej władzy emigracyjnej przez wybory powszechne tułactwa. Komitetowi Lelewela zarzucano, że został wybrany tylko przez 87 emigrantów „Ogółu” paryskiego, dlatego nie ma prawa reprezentowania całej emigracji.

Z akcją czartoryszczyków, którzy podszewali zakłady przeciw Lelewelowi zbiegło się również działanie skrajnej opozycji demokratycznej w łonie samego Komitetu i „Ogółu” paryskiego. Opozycja ta pod przewodnictwem głośnych klubistów warszawskich z czasów powstania: Tadeusza Krepowickiego i Adama Gurowskiego zarzucała Komitetowi Lelewela brak zrozumienia dla „wysokości swego powołania”, daleki brak śmiałości i siły w wystąpieniach zewnętrznych i domagała się zdecydowanego wypowiedzenia się za równouprawnieniem i uwłaszczeniem włościan. Naczuła żądała od Komitetu, aby zacieśnił swe związki z obozem rewolucyjnym w Europie, nawiązując porozumienie z rewolucjonistami rosyjskimi, niemieckimi, włoskimi, hiszpańskimi, żydowskimi itd. Gdy „Ogół” tatarski pod wpływem Lelewela uznał, w obawie przed represjami ze strony władz francuskich, takie deklaracje za niecelowe, nastąpił rozłam w Komitecie 16 marca 1832 r.

Krepowicki i Gurowski wystąpili z Komitetu Lelewela i dobraawszy sobie kilkunastu towarzyszy spośród niezadowolonych z polityki „Taranu” założyli nazajutrz Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Zasiedli w życiu emigracji fakt o wielkim znaczeniu na przyszłość. Radykalna myśl demokratyczno-republikańska odszczepiła się od pnia lelewelistycznego, by pójść własnym torem i wypisać na swym sztandarze walkę słowa: „Dla ludu przez lud”. Rozłamowcy byli ludźmi młodymi, wielu z nich tkwiło we francuskim rewolucyjnym ruchu podziemnym — karbonarskim. Ogniskiem tego ruchu był Paryż, gdzie działała naczelna władza karbonarska — tzw. Najwyższy Namiot Powszechny (La Haute Vente Universelle). Według jego dyktaw działali Krepowicki i Gurowski, główni sprawcy rozłamu w Komitecie Lelewela. Karbonaryzm francuski i jego polscy zwolennicy głosili komunizm utopijny Babeufa, którego uczniem był Buonarroti Filip, szef Najwyższego Namiotu Powszechnego. Wpływy utopijnego komunizmu ujawniły się w pierwszej deklaracji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego — „Akcje założenia” z dn. 17 marca 1832 r.

Rozłam marcowy osłabił poważnie pozycję Komitetu Lelewela wśród emigracji. Zakłady zaczęły jeszcze natarczywiej domagać się wyboru nowej władzy naczelnej i wysuwały różne projekty jej składu osobowego. Najbardziej umiarkowani emigranci skłaniali się nawet do oddania pod opiekę całosci tułactwa Radzie Generalów sprzyjających Czartoryskiemu. W tych okolicznościach Komitet Lelewela starał się pokryć porażki wewnętrzne przez wydanie nowej serii odczynków propagandowych do lewicy europejskiej i wchodził z nią za pośrednictwem rewolucjonistów francuskich w tajne rokowania, które prowadzili z upoważnieniem prezesa Leonard Chodźko i Stanisław Worcell. Oni to układali się z republikanami francuskimi, zrzeszonymi w paryżanach, którzy stwarzali z siebie jak: Przyjaciół Ludu (Les Amis du Peuple), którym kierował Godfried Cavaignac oraz „Pomagaj sobie, niebo ci pomoże” (Aide toi, le ciel t'aidera) Stefana Garnier-Pagés. Stowarzyszenia te dążyły do obalenia rządów Ludwika Filipa i ustanowienia we Francji republiki demokratycznej. Podlegały one karbonarskiemu Najwyższemu Namiotowi Powszechnemu Filipa Buonarrotiego.

Równoległe z tymi rokowaniami śledził Komitet Lelewela poczynania Czartoryskiego i jego pełnomocników w Anglii, mierzące do zainteresowania parlamentu, rządu i opinii publicznej sprawą polską. Czartoryski doprowadził do postawienia przez posła Cuttallara Fergussona w kwietniu i czerwcu 1832 r. w Izbie Gmin wniosku w sprawie naruszenia przez Mikołaja I postanowień Kongresu Wiedeńskiego odnośnie Królestwa Polskiego. Zabiegł czartoryszczyków denerwować lelewelistów i Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Uznali oni, że należy zaprotęstować przed parlamentem i opinią angielską nie przeciw pogwałceniu przez cara konstytucji Królestwa, lecz w ogóle przeciw rozbiorem Polski. W związku z tym Towarzystwo Demokratyczne wydało 8 maja 1832 r. „Protestację przeciw traktatom od 1772 do 1815 r. Polskę rozszarpującym”, przełożyło ją na angielski i wysłało do Londynu przez A. Gurowskiego. Za przykładem Demokratów poszedł J. Lelewel i wystosował w imieniu swego Komitetu tzw. „Adres tułaczów polskich we Francji do Izby Niższej Wielkiej Brytanii i Irlandii”, podpisany przez 1622 emigrantów z różnych zakładów. Niestety zarówno zabieg Demokratów jak i Lelewela na gruncie angielskim skończyły się niepowodzeniem. W Anglii przeważał w tym czasie wpływ Czartoryskiego.

W lecie 1832 r. na firmamencie emigracyjnym zabłysła nowa gwiazda, gen. Józef Dwernicki, sławny zwycięzca spod Stoczki i Borenia, dobrze widziany przez młodzież oficerską po zakładach. Po kilkakrotnych konferencjach porozumiewawczych różnych delegatów Rad zakładów wybrano nareszcie 18 września 1832 r. na zjeździe w Bourges 15-osobowy Komitet z gen. Dwernickim jako prezesem. W miesiąc później nastąpiło w Paryżu ukonstytuowanie się nowej władzy emigracyjnej pod oficjalną nazwą Komitetu Narodowego Emigracji Polskiej. Lelewel, jego powiernik Zwierkowski, oraz kilku innych członków wybranych w Bourges do Komitetu

Dwernickiego, nie przyjęło wyboru. Nowy komitet składał się z ludzi o różnych poglądach i nie miał określonego oblicza politycznego jako całość, mające kierować emigracją. W języku demokratów i lelewelistów nazywano Komitet Dwernickiego „pośrodkowym”, tzn. zajmującym pośrednie miejsce między lewicą i prawicą wychodźstwa.

Lelewel nie skapitulował wobec woli zakładów, nie uznał Komitetu Dwernickiego, przesuwając nadal własnemu Komitetowi i prowadząc zebrania „Ogółu” tatarskiego. Między Komitetem Lelewela i Komitetem Dwernickiego rozgorzała zacięta walka. Lelewela popierali w niej demokraci, Dwernickiego czartoryszczyści. Emigranci po zakładach dzielili się na stronników demokracji i arystokracji, mnożyli się bójkami i pojedynkami między lelewelistami i wspierającymi ich demokratami a czartoryszczykami i kumającymi się z nimi „pośrodkowcami”. Lelewel dla wzmocnienia powagi swego Komitetu wydał nową serię odczynków, między nimi dwie szczególne doniosłości: 1) „Do Ludu Izraelskiego”, 2) „Do Braci Rosyan” oraz zaatakował francuską Izbę Deputowanych „dopo-

minając się o narodowość” polską, tyle razy przez tron i Izbę zareczaną”. W odezwie do Izraelitów podnosił pełne prawa Żydów do obywatelstwa i wzywał ich do solidaryzowania się z narodem polskim w walce przeciw caratowi. Najświeższym echem na emigracji i w kraju odbiła się odezwa „Do Braci Rosyan”, w której Lelewel przypominał narodowi rosyjskiemu braterstwo słowiańskie, przypiętowane krwią dekabrystów. Pestela, Bestużewa, Rylejewa, Murawiewa Apostoła i innych, wzywał do solidarnej walki z caratem pod hasłem z czasów powstania listopadowego: „Za naszą i waszą wolność”. Odezwa ta wywołała demarche ambasadora rosyjskiego w Paryżu u rządu francuskiego, który rozpuścił 24 grudnia 1832 r. Komitet Lelewela. Był to wszakże powód uboczny. Przyczyną rozpadu Komitetu leżała gdzie indziej. Oto władze policyjne dowiedziały się o przygotowywaniu przez Lelewela w porozumieniu z podziemiami francuskimi wyprawy partyzanckiej plk. Józefa Zaliwskiego do Królestwa Polskiego i postanowiły jej przeciwdziałać przez rozbięcie ośrodka dyspozycji — Komitetu Lelewela. Przygotowaniami do

wyprawy kierowała tajna organizacja, powołana przez Lelewela na wzór karbonarski, pod nazwą „Zemsta Ludu”. Należeli do niej: Lelewel, Zwierkowski, Worcell, Leonard Chodźko, Walerian Pietkiewicz i jako naczelny wódz wyprawy Józef Zaliwski. Organizacja podjęła na przełomie 1832/33 r. werbunek ochotników po zakładach i kierowała ich partiami do Krakowa i Galicji jako głównych baz wypadowych do zaboru rosyjskiego.

Władze policyjne francuskie nakazały Lelewelowi w końcu grudnia 1832 r. usunąć się z Paryża do Lagrange, by go w pierwszej połowie marca 1833 r. przenieść pod eskortą do Tours, wreszcie w początkach sierpnia tego roku wydać nakaz opuszczenia Francji. Wówczas Lelewel pieszko, z tobolem na plecach, w bluzie robotniczej, udał się na wygnanie do Brukseli.

Pozostali członkowie Komitetu Lelewela i „Zemsty Ludu” dosięgli również przesładowania, niektórzy z nich (Worcell) dostali się nawet przejściowo do więzienia przed wydaleniem z Francji.

Do zapasów o „rząd dusz” w emigracji stanął prócz Lelewela, Czartoryskiego, gen. Dwernickiego i Towarzystwa Demokratycznego Polskiego kadubowy sejm powstańczy. Na emigracji znalazło się wielu posłów i kilku senatorów. Potrzebne quorum obrad sejm było określone uchwałami z dn. 19 i 26 lutego 1831 r. na 33 osoby. Na wezwanie Romana Sołtyka zebrało się w Paryżu w styczniu 1832 r. 18 posłów i 1 senator. Postanowiono w wyniku obrad nieoficjalnych, tzw. „famiłijnych”, zabezpieczyć papiery sejmowe oraz wezwać posłów przebywających w Galicji, Dreźnie, Brukseli i Londynie na sesję do Paryża. Przez cały rok trwała robota mobilizacyjna przy cichych początkowo sprzeciwach czartoryszczyków i Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Natomiast leleweliści ze swym wodzem (Lelewel) oraz wojewodą Antoni Ostrowski parli do wznowienia na emigracji legalnych obrad sejmowych z chwilą zebrania ustawowego kompletu posłów i senatorów łącznie. Lelewelowi chodziło głównie o to, aby po rozpadnięciu przez władze Komitetu, poprzez sejm uchwylić władzę nad emigracją; Antoniego Ostrowskiego pchała do sejmowania zwykła próżność rodowa, brat jego bowiem, Władysław, interweniował przez Austriaków w Gratzu, był marszałkiem sejmiku 1830/31 r.

3 stycznia 1833 r. zgromadziło się w Paryżu 34 posłów i senatorów, zaczęła się ożywiona dyskusja nad tym, czy Sejm ma obradować legalnie, czy famiłijnie. W dwa dni później, gdy przewodniczący obrad Ostrowski ogłosił kompletność, iż zgodnie z uchwałą 19 posłów, czyli większości, otwiera legalne obrady, nastąpił rozłam. 11 czartoryszczyków w obawie przed supremacją lelewelistów zaprotestowało na piśmie przeciw tej uchwale i usunęło się od narad, dekompletując skład sejmu. Na nie zdążył się zabieg Lelewela i Ostrowskiego, zmierzające do zebrania ustawowego kompletu lub uzupełnienia go przez deputowanych, którzy byliby wybrani przez sejmiki wychodźcze; na nie piękne, deklamatorskie enuncjacje Adama Mickiewicza, który pragnął sejmowi na emigracji nadać charakter Izby przewodzącej uciśnionych ludów Europy — sejm emigracyjny nie doszedł do skutku, umarł w kolebce. Przeciw sejmowaniu na emigracji wypowiedziało się zdecydowanie Towarzystwo Demokratyczne Polskie, lecz z innych niż czartoryszczyści powodów. Karbonarzy-demokrati spod skrzydeł Krepowickiego nie uznawali sejmu za reprezentację całego narodu, lecz jedynie za organ jego uprzywilejowanej części — szlachty. Demokraci nie mogli wybaczyć sejmowi, że podczas powstania „w gabinetach i zarchizacji umów wiedeńskich jedynego ratunku dla sprawy ojczyzny szukał”, że ogłosił się ze strachu przed królami Europy monarchię konstytucyjną, że „wykopał grób polskiemu powstaniu” i „rzecz publiczną zgubił”. Głos ten pozabawił uroku zasnutą nimbem urojonej wielkości postać kadubowego sejmu.

„Długo wolano na rozproszonych członków obu Izb, żeby złożyli na ziemi francuskiej tę arkę narodową, którą unieśli z domu niewoli... wśród mordującego pasowania się zdań różnych, wieko arki podniesione już na wpół zapadło z trzaskiem. Za drzwiami obrad zniecierpliwiona publiczność emigracyjna wydała okrzyk, że ta poważna skrzynia — jest pusta” — tak zamknął charakterystykę sejmu na emigracji Feliks Chroński w „Kalendarzu Pielgrzymstwa Polskiego” na rok 1839 (str. 72).

Nieudana wyprawa partyzancka Zaliwskiego do Królestwa Polskiego (marzec 1833), nieudane powstanie we Frankfurcie nad Menem (kwiecień 1833), któremu na pomoc pośpieszyli polscy karbonarzy z Besancon, Dijon, Salins, Vesoul i Luxeuil w liczbie 500, lecz zostali zatrzymani w Szwajcarii („Hufiec Święty”), awanturcza wyprawa kilkudziesięciu z nich z namowy Włocha Mazziego do Sabaudii (luty 1834), wreszcie stłumione okrutnie przez wojska liniowe powstanie kwietniowe 1834 r. w Lyonie i Paryżu osłabiło wśród wychodźstwa polskiego na Zachodzie wiarę w rewolucję europejską, od której uzależniano niepodległość Polski. Pod wpływem Maurycego Mochnackiego i Joachima Lelewela emigracja zaczyna liczyć wyłącznie na siły własne narodu i stara się je rozbudzić przez propagandę rewolucyjną w kraju. Na tę drogę wkrocza również najbardziej kosmopolityczne nastroje spośród istniejących grupowań emigracyjnych Towarzystwo Demokratyczne Polskie, co znajduje wyraz w hasle: „Przez Towarzystwo dla Polski, przez Polskę dla ludzkości”. Pod wpływem zawiedzionych nadziei w powszechną rewolucję potężniała wśród emigracji wiara w Polskę i jej najbliższą ostoję, siłę w uspieniu — masę ludową.

Witold Łukaszewicz

Maria Staromska-Hessenowa

Rozmowa z Maryczą z Rękawca

Marycha z Rękawca jeszcze w kwietniu zeszłego roku opuściła swoją wieś rodzinną. Z młodzieży rękawieckiej nie pierwsza ona tak zrobiła i pewnie nie ostatnia.

„Ojciec się ze mną spierał, że nie puści do Łodzi, ale ja rankiem wyszłam z domu, wszyscy spali jeszcze i tyle mi zrobili! Tylko, że się ze mną po drodze do stacji ludzie z naszej wsi śmiali, bo leciałam bez butów, ino w tuchciach”.

Marycha ma niecałe 18 lat, jest duża, ładna i silna. Jak sama stwierdza — wyruszyła do Łodzi, żeby się czegoś nauczyć.

„Z naszej wsi co lepsza młodzież to już dawno wyjechała: — jedni na zachód, jedni do Łodzi, lub gdzie indziej.”

Marycha skończyła zaledwie trzy oddziały tej szkoły. „Więcej nam kazali wtedy ziół zbierać po łąkach, niż się uczyć, a zimą też często szkoła była zamknięta, bo Niemcy tam swoją policję kwatrowali”.

Marycha jest właściwie powrotną analfabatką. Przed paru miesiącami nie posiadała żadnych wiadomości z historii, geografii. Nie wiedziała, że Warszawa jest stolicą Polski, nie rozumiała znaczenia stolicy. Nie wiedziała też, że Warszawa leży nad Wisłą. „Zachód”, gdzie sporo ludzi z okolic Rękawca jeździ, nie kojarzył się jej ze stronami świata, których na mapie Polski nie była w stanie pokazać. Nie znała nazwiska obecnego Prezydenta Państwa.

— Dlaczego po skończeniu wojny nie uczęłaś się?

— We wsi przez dwa lata po końcu wojny nie było nauczyciela, to gdzie my mieli się uczyć — później był. Ale teraz to przecież i tak już bym do szkoły nie poszła razem z małymi dziećmi. Chciałam się uczyć, pisałam dużo w zeszytach, to co mi do głowy przyszło — ale później sama nie mogłam odczytać tego, co napisałam, bo wszystko było źle: Mieli „założyć naukę” dla starszych, takich jak ja, bo wszyscy z mego rocznika ich nie umieją — ale jakoś nie wyszło. Nie miał kto pokierować.

— A nie należałaś na wsi do jakiejś organizacji młodzieżowej, przecież chyba mogłaś?

— Tak, należałam do PW, ale krótko, wszystkich 10 miesięcy. Po 10 miesiącach PW przeniosło się gdzieś i do nas już więcej nie przyjeżdżało. Wszyscy czekali na niedzielę, na komendanta, co z nami przerabiał ćwiczenia. Jeździliśmy ciężarówką, śpiewaliśmy i zabawy czasami były.

— Czy teraz nie ma żadnej innej organizacji młodzieży w waszej wsi?

— Jest jakaś, co urządziła w każdą niedzielę tańce w innej chałupie. Chociaż byłam młodszą od innych dziewczyn, ale mnie brali chłopcy do tańców, dobrze mi szło. Najgorzej było mi wymawiać się od wódki. Strasznie to goręco tak kręcić się między ludźmi i jeszcze wódkę pić. Na drugi dzień to do południa mnie i moją starszą siostrę Heniek nie mogli z łóżka spędzić — tak nas zamroczyło. Ale już taki zwyczaj był, co niedziela chodziło się na zabawę.

— W pokoju robi się wczesny zmrok, ktoś przekreśla kontakt od elektryczności.

— O to i u was jest elektryka, ja się na tym znam — mówi Marycha z rozjaśnioną miną.

— Znasz się, to doskonale, może w Rękawcu macie elektryczność?

— W Rękawcu? — tam pierw chałupa pod ziemię popadają się, niż ludzie się zgodzą na założenie elektryki — za głupi są!

— No to skąd się znasz na elektryczności?

— Mam brata na zachodzie! — odpowiada Marycha i szybko zaczyna opowiadać o swej miesięcznej bytności we wsi Lutomie pod Swidnicą. Marycha opowiada jasno, rzeczowo, bez gadulstwa. Główny tok jej opowieści koncentruje się około różnych urządzeń technicznych, które widziała w gospodarstwach tamtejszych.

— Umieć sama naprawić grzałkę elektryczną, umocować krany gwintami, napuścić smarami zniwiarke i inne maszyny gospodarskie — mówi z taką samą naturalną prostotą, z jaką mówiła, że nie wiedziała, iż Warszawa leży nad Wisłą.

Marycha jest ubrana w grubą wełnianą

*) Domowe pantofle na grubej podszewie z materiału.

spódnice i sweter robiony przez nią samą geściutko na drutach. Oznajmia, że wszystko umie robić tym sposobem i uszyć też potrafi doskonale. Na zachodzie nauczyła się szyc na maszynie. Maszynę potrafi, naturalnie, całą rozłożyć na części i złożyć z powrotem. Wyczyć, naoliwić, jak trzeba. Nie ma zamiaru wracać do Rękawca, choć w Łodzi są różne kłopoty.

— Zajrzę tam do nas od czasu do czasu — ale i to niekoniecznie. Zawsze na Rynku Wodnym w Łodzi można się dowiedzieć, co słychać w Rękawcu.

— Jak to na Rynku Wodnym?

— A no od naszych bab z jankami, przecież każda musi z koszyczkiem, choć raz w tygodniu przyjechać do Łodzi.

Z rozmowy wynika, że Marycha nie lubi tych babskich jazd z koszyczkami. „Przecież to żaden zarobek, a w gospodarstwie tylko strata”.

Marycha dużo mówi o życiu wsi rodzinnej, jej uwagi są pełne prostego rozsądku. Nie jeden mówca propagandowy chętnie by się nimi posłużył. Marycha widzi konieczność wprowadzenia wielu zmian w gospodarstwie chłopów. „Tak jak jest, to do niczego” — konkluduje.

— Ja sama dlatego uciekam ze wsi, bo nie mogę patrzeć, jak ludzie są takie ciemne i wszystkiego, co nowe, choćby było najlepsze, boją się.

Marycha dopiero teraz, w Łodzi była pierwszy raz w kinie — opowiada swoje wrażenia z tego pierwszego razu.

— Nic nie rozumiałam, co mówią, bo nie po polsku, a przeczytać też nie mogłam, za przedko się migało. — Nie może opowiedzieć ani treści filmu, ani jaki był jego tytuł. Od tego czasu była kilka już razy, za każdym razem coraz więcej rozumie. Była też w teatrze na „Igraszach z diabłem” — bardzo się śmiała ze wszystkiego, a najwięcej z „fałszywego” zakonnika.

Czy słucha radia? Tak, ale tylko muzyki. Słowa mówione nie, zbyt przedko mówią. Gdyby mówili wolniej, dużo wolniej słuchałaby chętnie. Dla nauki.

Marycha ma ręce kształtne, silne, ale całe pokryte kurczakami. „Nie mogę się ich pozbyć — jeszcze ze wsi przywiozłam — mówi z lekką irytacją — ale to dlatego, że nie mam serca rzucić ich na innego”.

— Jaktó rzucić na innego?

Marycha wyjaśnia uznany na wsi sposób leczenia kurczaków. Na waskiej jedwabnej wstążeczce wiąże się tyle supełków, ile ma się kurczaków. Wychodzi się na drogę i rzucza wstążeczkę za siebie z myślą, że ktoś ją podniesie. Naturalnie taki, kto nie wie, i wtedy on to dostaje kurczaków, a ten, kto je miał — traci. Lecz Marycha nie chce obarczać swymi kurczakami kogoś innego — może same znikną.

— Czy naprawdę w to wierzysz?

Marycha się waha. — Ja tam na wiejskie gusła nie zważam, ale z jakimiś chyba to prawdziwie tak być musi.

•

Marycha pracuje w jednej z większych fabryk przemysłu odzieżowego, wkrótce zostanie prawdopodobnie taśmową na sali młodzieżowej. Majstrowa chwali ją za rzetelność, staranność, a przede wszystkim za doskonałą konserwację maszyny. Marycha ma szczególne upodobanie do kręcenia śrubkami, do sprawdzania po kilka razy trybów, do niezmiernie sumiennego czyszczenia każdej części maszyny.

Zabrała się już do solidnej nauki w szkole wieczorowej. Później ma zamiar dostać się do przemysłowej.

Ale to jest problem, którego jeszcze nie może rozstrzygnąć, i który nieraz rozważa. Ciągnie ją bowiem zawodowa szkoła konfekcyjna, a ma również wielką chęć uczyć się na fachowca w przemyśle metalurgicznym. Tylko czy zechce dziewczęcy przyjąć na naukę do przemysłu metalowego?

Początkowa obcość dużego miasta ulatnia się powoli. Marycha czuje się coraz bardziej na swoim gruncie. Pod wpływem szkoły, fabryki, świetlicy budzi się w niej świadomość przynależności do znacznie szerszego środowiska niż jej dawna wioska; wchodzi stopniowo w zwarte kręgi klasy robotniczej.

Józefa Witowska

W KSIĘŻYM DOMU

(Z pamiętnika dziewczyny)

Na prośbę biskupa przyjechała pani Zielińska na mieszkanie ks. prefekta Rożkowskiego, bo podobno najdalej miał chodzić do gimnazjum.

Po paru dniach przyszedł ks. Rożkowski — czarny, wysoki, w okularach z nieodstępną fajeczką, a z nim jakaś pani czarna, gruba, podobna do Żydówki. Obeszli mieszkanie, a szczególnie ta pani interesowała się każdą drobnostką. Gdy przechodziła przez sypialnię po ks. Kamińskim powiedziała: — Wie ksiądz, to by była sypialka w sam raz dla księdza. Stało tam łóżko pokryte białą kapą, obok mała biblioteczka, szafa, piękny z dużym krzyżem klejnik i bardzo ładna umywalka, którą ks. Kamiński dostał na imieniny w jakiejś parafii, biurka i trzy krzesła.

Więc ks. Rożkowski kupuje sypialkę, z tym wszystkim, co w niej jest. Jakos się zgodzimy na raty. Potem pokój stołowy, też cały. Gdy weszli do salonu, również chcieli mieć cały dla siebie. Kupili salon. Później kuchnia ze wszystkimi urządzeniami, a nawet ze służącą, której pani Zielińska za nic by nie puściła. Ja także nie chciałabym zostać u obcych.

Przyprowadził się ks. prefekt. Jakaś tam babusia przyniosła parę gratków, które były niczym w porównaniu z tym, co kupili. Babcia ta przychodziła u nich sprzątać. Najważniejsze było to, że kuchnia była wspólna. Pani Zielińskiej nie podobano się od razu ta rodzina. Pani Piórkowska — gospodyni prefekta, „ciotcia” była babą niemłą, niechlujną, łaziła jak paw nadeła, wiecznie w halce, z tyłu z rozporem rozwartym. Było często widać jej ogromne piersi, głowę często owijała chustką: — O, jak mnie dziś głowa boli — mówiła. Ale ta głowa to ją wtedy tylko bolała, kiedy chciała od księdza coś wydobyć. Kiedy ksiądz podał obiad, zawsze naprzeciw niego stanęła, podparła się i dopiero pokazała mu całe piersi. Pani Zielińska nie mogła tego znieść. Mówiła do mnie: — O, jaka ona bezwstydną, przy mężczyźnie tak stoi i chodzi, w tej halce brudnej. Czy by to mój brat na to pozwolił? — tu spoglądała w niebo. — O, słodkie serce Jezusa, jakież Ty cierpliwe!

Do „cioci” się zjeżdżała na wakacje cała rodzina i to nieraz po 6 osób. Prefekt miał pensję za małą, więc trzymał czterech chłopów na stacji.

W letnie wieczory wychodził ksiądz z „ciotką” na spacer do parku czy gdzieś indziej i znowu się to pani Zielińskiej nie podobało i mówiła do mnie: — Wiesz Marysiu, może to nie ksiądz, może to jakiś przebrany szmukler? Całe wieczory ich nie ma w domu. To jest zagadka, z kim my mieszkamy.

Mimo wszystko przemieszkaliśmy razem lato. Zbliżała się jesień. Pani Zielińska szykowała się do Częstochowy do brata, który miał po nią przyjechać. Księdzu Rożkowskiemu dosyć się podobałam, a może go też „ciotcia” namawiała? Kiedyś mnie zagadnęła: — Czy by Marianna nie została u mnie, jak Pani Zielińska wyjeżdża? A ja mu odpowiedziałam: — Marianna nie jestem i z panią Zielińską wyjeżdżam. Bardzo mnie ta „Marianna” rozśmieszyła. To ci mnie ładnie nazwał! Przecież jeszcze nie jestem starą panną. Pani Zielińska powiedziała „cioci”, że się bardzo obraziłam za tę Mariannę, toteż ksiądz kiedyś mi powiedział rano: O, Mania, dzień dobry.

Pani Zielińska nie radziła mi zostać u nich. — Dziecko kochane, szkoda cię tutaj dla nich, ten ksiądz też taki niejasny, wieczorem kręci się w białiznie po wodę do kuchni, oboje mi się nie podobają — mawiała. Pakowałyśmy już bieliznę na przeprowadzkę, a w ładne słoneczne dni słyśmy swoim zwyciężającym do parku, czasem na pogrzeb biedaka, ale „ciotce” nasze wycieczki się nie podobały. Kiedyś mi powiedziała: — Wiesz ty, Maniu, ty nie pasujesz z tą starą babą i z tym półgłówkiem Antosiem, ty przecież jesteś młodą panią, tobie potrzeba innego towarzystwa. A ja się roześmiałam i mówiłam: — Czuję się bardzo dobrze w ich towarzystwie. Pani widzi, razem sprzątam, jem, spacerujemy, kto chce może do mnie przyjść, należę do różnych stowarzyszeń, chodzę na zebrania, wycieczki, co drugi dzień idę na lekcję śpiewu, któż by mi tak pozwolił na wszystko? — No tak, ale ci płaci tylko 15 zł. miesięcznie, gdybyś była u nas płaciłabym ci 35 i jeszcze byś coś dostała. Jak się ta stara wyprowadzi, to weźmiemy

więcej uczniów i będziesz mieć u nas dobrze. Kupisz sobie coś, przecież jesteś młoda i musisz ładnie wyglądać. Kupię ci od czasu do czasu jakiś prezent. I tak pomalutką zaczęła mnie do siebie zachęcać, a nie pozwoliła mi nic mówić o tym pani Zielińskiej. Ksiądz prefekt zaczął miłe na mnie wyglądać i oczami mrugał. — Noś okulary, nerwowo zawsze mrugał oczyma i miał przysłowie mówić „Panie tego”. — Więc, Maniu, zostajesz u nas, — będę ci płacił 35 zł., a pani jest dobra, niczego ci żałować nie będzie, dostaniesz od niej niejedno — mówił ksiądz.

Ksiądz przy nas mówił jej: „ciotka”, a jak nie było nikogo, tośmy słyszeli jako wołał: Stacha, chodźno.

Gdy się położył do łóżka, a kładł się wcześniej, to „ciotka” poszła i godzinami siedziała na łóżku przy nim. Myśmy się z panią Zielińską śmiały, że ciotka nie na próżno chodziła zawsze taka rozchwilana, bo tak go wabi do siebie. — O, serce Jezusa i to się nazywa księży dom? — Nie, coraz więcej mi się oboje nie podobają. Obie strony czuły do siebie coraz większą niechęć, rozmawiały tylko przy gotowaniu w kuchni z „ciotką”, a z księdzem tylko „dziejdobry”. Nie podobało się „ciotce”, że przychodzi do nas dziewczynki na obiady: — Lepiej by sama zjadła, ugotować mniej a lepsze. Wielkiej łaski Panu Bogu nie zrobi, że da dzieciom obiady.

Nadszedł upragniony wrzesień i w końcu św. Michał. Brat pani Zielińskiej przyjechał zabrać paczkę, tak że pani Zielińska została tylko z małą walizką. Mnie nie chciała zostawić w żaden sposób, chciała żeby z nią razem jechała do Częstochowy. Lecz ja pokłoniłam się na większą pensję i na te prezenty, które mi oboje obiecali. A jeszcze było mi żal wyjeżdżać, bo miałam dużo dzieci małych, które do mnie przychodziły i to przeważnie były sierotki. Urządzałam z nimi różne zabawy, śpiewy, postarałam się u księdza Blizńskiego o przyjęcie trzech do sierocińca w Łiskowie, więc sobie pomyślałam, że zostanę w tym samym domu, na miejscu. Tylko ocygałam panią Zielińską, że pójdę spać do domu, a rano o 4 przyjdę na dworzec — Pani Zielińska poszła z Antosiem spać do przytułku, a rano miałyśmy się spotkać.

Wstydziłam się powiedzieć pani Zielińskiej, że zostaję. Zostałam więc w księżym domu.

Pokój pani Zielińskiej był oddany dla uczniów. Zaraz pierwszego października przybyło 2 nowych, to razem było 6, i siostrzeniec „ciotki” Wojtek, zwany Wojtas. Był to uczeń 5-tej gimnazjalnej, ale podług sprawiedliwości to pierwszej marniej. Był to łobuziak, złodziej, ordynus i cygan. Ksiądz sobie aż ręce łamał i krzyczał nieraz: — Wojtas, jak ty mnie kompromitujesz! Znowu dwójka. Bo rzeczywiście miał same dwójki. Kiedy indziej znowu: — Wojtas, profesor poczuł wdórkę od ciebie, paliłeś w ustępie. Wojtas, profesor cię pytał, a ty sobie rysowałeś zamiast odpowiadać. Bój się Boga, co z ciebie będzie? Skoro Wojtas był łobuzem w gimnazjum, to cóż powiedział w domu? Kradł nawet mięso z garnka lub patelni.

Umówił się z kolegą, tamten okradł rodziców i uciekł obydwa do Poznania. Przyszli rodzice z placem do księdza, a byli to bogaci kupcy. Po chłopcach ślad zaginął, nie pomogły gazety ani meldunki w policji, uciekinierów nie ujęto. Na próżno „ciotka” głowę owija i płacze. Ale łobuzów jakoś diabeł nie wzięli: po miesiącu wrócili pieszko z Poznania, w podartych butach, wygłodzeni, zziębnięci. Ale „ciotka” z radością Wojtasowi powitała i rano poszła do gimnazjum jakby nigdy nic. Skoro się zbliżyły wakacje, a co rok było tak samo, ciotka ręce załamywała: — Ady niech się ksiądz stara, by Wojtas zdał, bo sobie życie odbiorę. Ady niech ksiądz co chce robi, byle by Wojtas przeszedł. Ksiądz powoli, bo był zawsze powolny: — Bez żadnych tragedii, po cichu, niech ciotka tylko pomyśli, kiedy by zrobić przyjęcie, ze dwa obiady, kolacje. A ciotka słynęła z dobrych obiadów. Więc któregoś dnia ksiądz poprosił wszystkie profesorki, profesorów z panem dyrektorem na czele. Pociągali, popijali w saloniku, no i cud. — Wojtas przechodził, stopnie poprawione.

Uczniowie mieli raj na stacji, że nie dają Boże. Przede wszystkim mieli mało jeść. Wieczorami ksiądz z „ciotką” wychodził na spacer, czy do kogoś znajomego. Wrócali

późno. Wszystko było zamknięte. Chłopcy głodni i ja głodna. Chodziłam po sąsiadach pożyczyc parę kartofli, które po ugotowaniu w łupinach jedliśmy z solą i kładliśmy się spać. Oni, gdy wrócili, czasem jedli, a czasem nie. Rodzice chłopców wstydzi się upominać, przecież to ksiądz. Chłopcy byli ze wsi, a do prefekta jeden przez drugiego oddawał do rzemiosła. No zobacz, może co zrobię. Toteż rodzice go za to obłapiali za nogi. Po ich odejściu ksiądz mówił do „ciotki” w mojej obecności: — Głupie chłopcy, każdy by chciał mieć syna panem, a nagać do roboty, „panie tego”, nigusów! Ja mam pamiętać o wszystkich i uczyć?

Chłopcy w czasie świąt będąc w domu umówili się z rodzicami, żeby u mnie zostawiali trochę żywności. Tak też niektórzy robili, ale nie wszyscy. Był jeden gospodarz spod Chocza, co u mnie zostawiał pieniądze, aby co potrzeba synowi kupić do jedzenia! Nie wszyscy chłopcy byli na księżym życiu. Było 2 co tylko mieszkał. Rano dostali wodę, na południe wodę i na wieczór wodę, którą sobie sparzali chleb i jedli czasem okraszony, czasem z solą.

I ja nie miałam, jak mi obiecali. Roboty było dużo a jeść mało. Nawet mydło musiałam kupować za swoje pieniądze. Jak nie schowałam swojego mydła, to mi „ciotka” zabrała obiecując, że mi odkupi.

Ksiądz prefekt jesienią i zimą siedział ustawicznie w kuchni. Ba, żeby w kuchni, ale na kuchni. Pod nogi postawił krzesło i grzał sobie „sempiternę”. Zapalił fajkę z długim półmetrowym cybuchem, oparł o kolana, oczami mrugał i tak mógł przesiedzieć 3 — 4 godziny. Ja byłam skrepowana, ani się umyć, ani ubrać. Przyszły do mnie koleżanki, idziemy na lekcję, migamy na tę fajkę, że nie wychodzi. Wołają mnie, żeby się szykować, bo będzie późno. Nareszcie ja proszę: — Ksiądz będzie łaskaw wyjść na chwilę, póki się nie umyję. — Ha, ha, ona myśli, że ja nie znam takich ślepaków, jak ona ma. Dziewczęta się zarumieniły. Rada nierada wycieram się trochę ręcznikami i dziemy, a „ciotka”, to naczynie duchowne, jak ja ją nazywałam siedzi na tym samym krześle co ksiądz ma nogi, głowę oparta o jego łono. Nie krepowali się nawet tych obcych dziewcząt, co do mnie przychodziły.

Po przyjeździe uczniów, jeden, najstarszy z nich, który miał zdawać maturę w tym roku pyta mnie, czy był Jędręk. — Tak, czy go znasz? — Czy go znam? Kolega z jednej wsi i z jednej klasy. Dopiero mi Heniek Wiczorkiewicz opowiedział prawdę nieprawdopodobną. Otóż ten Jędręk był bardzo biedny, ojca nie pamiętał, matka mieszkała na komornym, chłopak pasł gęsi a później krowy u proboszcza, ale był dobry i zdolny, więc proboszcz go przysposobił do trzeciej klasy, a że znał naszego prefekta, z nim się jakoś poinformował, żeby wziął Jędrka na stację. Prefekt przyjął go bez zyscia, za darmo, matka mu przyniosła na plecach chleb, masło, ser. Ale chłopak się dobrze uczył, nasz proboszcz go zachęcał do kapłaństwa. Może by i był, gdyby nie ta stara Lena. Ani to uczył, wie pisać, ani czytać nie umiał, przychodziła często do nas by się uczyć. Prefekt kiedyś nas pytał: — Chłopcy, który na ochotnika uczyłby trochę pannę Lenę? Myśmy się wymówili, że nie mamy czasu, prefekt spojrział w stronę Jędrka. Te, Jędręk, darmo mieszka, poucz trochę pannę Lenę. I Jędręk co dzień poduczał. Zostawali sami wieczorami, sami po południu. Kto kogo uczył, nie wiadomo, czy on ja czy ona jego, dość, że Lena zaczęła się poprawiać. Co to było za piękło! Ksiądz aż zsiniał. Potem wszystko ucichło. Ksiądz pozostawiał wszystkie formalności i pewnego popołudnia pojechali gdzieś na

wieś i tam im ksiądz dał ślub. Jak to? pytam — bez zapowiedzi? Nie wiem, jak Boga kocham. Nic nie wiemy, co się zrobiło, dość, że ksiądz się wystarał o posadę gdzieś za Warszawą i oboje ich wyekspediowali. Matka przyniosła Jędrkowi toból, a tu jej ksiądz

a później ciotka zaczęła opowiadać: Łajdak, złałamuciel dziewczynę, obraza Bożą, musiał ją przecież zaślubić. A stara Szyszko-wa na kolana: — Ady Chryste Panie, ady jo myślała, że on będzie księdzem, że mi osłodzi moje stare lata. Chryste Panie, zabierz mnie sierotę, już straciłam cię Jędrku, Jędrku, tak zasmuciłeś mnie sierotę, ady jo cie oddała do księdza w opiekę, ady mnie nawet i ksiądz wstyd za niego. Jak ja spojrzę naszemu proboszczowi w oczy? Miłosierdzie, Jezusie Drogi. A nasz prefekt na to: — Nic nie pomoże płkanie, idźcie, idźcie, chłopak jest urzędnikiem w Warszawie, zleście go chowali, gdyby był lepiej chowany, byłby inny, nie już nie pomoże. — Matka poszła, ale potem mało wychodziła, rozchorowała się i umiała.

U księdza pieniędzy zawsze brakowało, bo wciąż był ktoś z rodziny, wydatki były duże. Ksiądz mawiał: — Ciotka, oszczędniej, przecież ja mam pensję kawalerską, a tu taka rodzina duża. Wtedy były historie niemożliwe. Ciotka pakuje się i już wyjeżdża, wpada do kuchni podobna do wariatki, łapie brudne gałgany i paczka gotowa. Odprowadza mnie, jadę do Łodzi, co tu w takim diadłowskim domu być? — krzyczy na mnie. Ciągnęła mnie za sobą na ulicę, a później wołała o klucz do pustego pokoju, w którym organista miał lekcje śpiewu, a klucz był u nas. Tam poszła i czekała dopóki ksiądz nie pójdzie do szkoły. Powtarzało się to bardzo często. Po wyjściu księdza przyszła do domu, a jak ksiądz w przerwie przychodził, to wchodziła do szafy i tam siedziała dopóki nie wyszedł, a ksiądz prefekt w czasie jej nieobecności chodził jak struty, błądził. — Kiedy ty pani mówiła, że przyjedzie? — pytał się. — Trzeba by po nią pójść na stację. — Nic mi nie mówiła, tylko niech mi ksiądz powie, co mam gotować na obiad, bo nie nie ma. Musi mi ksiądz dać co pieniędzy, to pójde kupię kawałek mięsa. Wiedziała, że on pieniądze przy sobie nie ma. Mówiłam tak umyślnie. — Ugotuj żurku z kartoflami, bo nie mam klucza od szufladki z pieniędzmi. — Ale nie mam kartofli, bo są w piwnicy. — To sobie pożycz od kościelnego, pani przyjedzie, to odda. — A ile razy miałam nieprzyjemność, bo zjadła chleb, a ksiądz na drugi dzień nie chciał mi dać pieniędzy, ponieważ myślał, że ja tyle zjadłam. Albo udawanie chorej. Tak umiała sprytnie udawać chorobę, że ksiądz sprowadzał doktora. Naturalnie ona doktora nie chciała. Ile razy się z nim pogniwiała, tyle razy leżała po parę dni chora, aż dostała to, co chciała. Jednego razu chciała nowe palto krótkie. Rzeczywiście trudno było kupić, więc zrobiła się chora śmiertelnie. Zawołała mnie do siebie do łóżka: — Ja jestem zdrowa, ale widzisz chłopka trzeba zawsze utruć, wtedy będzie trochę lepszy. Idź mi dziecko do żydowskiej rzeźni i przynieś szklankę krwi z gęsi czy kaczką. Poszłam, przyniosłam, zapłaciłam parę groszy i nie wiedziałam, do czego to będzie potrzebne. Myślałam, że na czerninkę. Tymczasem „ciotka” kazała mi przynieść miske, postawić przy łóżku,



połala tą krwią siebie, pościel, trochę popla-
miła brode, resztę wylała na miskę i na po-
długę koło miski. Wyglądała rzeczywiście
niepodobnie do człowieka z głową owianą
czerwoną chustką i tak czekała przyjscia
swego „prefekcia”, a wiedziała dobrze, że
w każdą przerwę przychodzi. Gdy wszedł
do pokoju i zobaczył ją, narobił takiego krzy-
ku, wpadł do kuchni z reklamą do góry pod-
niesionymi, myślałam, że mnie będzie bić:
— Ty sobie w najlepsze siedzisz w kuchni
a nie widzisz, co się dzieje w pokoju! Leć
mi natychmiast, po doktora, wszystko zosta-
wiaj. A ciotka z pokoju słabym głosem wo-
ła: — Już mi lepiej, szkoda pieniędzy na
doktora. Ale książkę się uparł. Wyszukał parę
złotych. Zostawił mi w kuchni i powiedział:
— Ja już muszę iść, a ty się ubieraj i biegnij
po doktora. Po odejściu księdza „ciotka”
wstała, przysłała do kuchni, obmyła się, po-
sprzątała po sobie, śmiała się, że tak wygła-
dała nieładnie, i posłała mnie do apteki, żeby
kupić mieszaninę: kropli waleriana, goździko-
wych, miętowych, żółdkowych, gdy to
przyniosłam zmieszała z wodką i zrobiła peł-
ną butelkę, którą wstawiała w kwartę wo-
dy, postawiła koło siebie na oknie i poszła
do łóżka: Czekala teraz przyjscia swego
„prefekcia”. Na obiad wszyscy wrócili, pre-
fekt się pyta, czy był doktor i czy jest lekar-
stwo. Odpowiadam, że doktor był i lekar-
stwo jest. Gdzie to lekarstwo, zobaczę jakie.
— U pani w pokoju. Poszedł do pokoju,
szuka lekarstwa a „ciotka” słabutkim gło-
sem się odzywa: Aty tam stoi na oknie,
bo doktor kazał żeby było w zimnej wodzie
i w zimnym miejscu. — On bierze butelkę,
chce zobaczyć receptę i leci z tą butelką
prosto do mnie do kuchni: — Czy ty masz
zdrowy umysł? Kto to sypiał stawiać bu-
telkę z receptą do wody? Nic nie mogę prze-
czytać, zalało się wszystko. Wtedy ja się
śmiałam na cały głos, a za mną wszyscy
uczniowie w kuchni. Śmiałyśmy się z jego
wściekłości i ryku. Kiedyś znowu „ciotka”
żąda pieniędzy. Nie mam, będą w niedzielę.
W niedzielę każdy uczeń musiał dać na ta-
kę przynajmniej 10 groszy. W jedną niedzielę
brał prefekt te pieniądze, a w drugą dawano
na kościół. Gdy przypadała kolejka prefekta,
to taką torbę przynosił pieniądze, a w po-
niedziałek rano zaraz wysyłałam pieniądze
jej matce. Po każdej pensji wysyłałam pienia-
dze dla matki, a ile pazełki Pisałam jej na-
wet listy, bo się tłumaczyła, że bez okularów
nie może pisać. Gdyśmy zabili świnię, co się
często zdarzało, to ledwie ją się oczyściło,
„ciotka” zaraz uciąła kawał brzucha i jesz-
cze takie ciepłe wysyłałam jej matce albo jej
krewnym.

Pewnego razu przyszedł jakiś wiejski chłop
z kijem. Pyta się o księdza. Pusiłam go, bo
byłam pewna, że to ojciec jakiegoś chłopca.
Widzę, że długo nie wychodzi, a było to już
pod wieczór. Poszłam do pokoju, siedzą so-
bie z księdzem przy stole i słyszę jak księ-
dzę mówi „ty” i będzie tu nocować. Nie mo-
głam się domyśleć, kto to jest. Zjedli bardzo
skromną kolację, tylko chleb z masłem i her-
batę. Rano poszedł sobie do kościoła i nie
wracał przedko. Nim wrócił, prefekt poszedł
już do szkoły. „Ciotka” z gościem niechętnie
rozmawiała. Dostał w kuchni tylko na śnia-
danie suche bułki i kawę. Prosił, żeby mu
pożyczeli pieniądze na drogę, bo przyszedł
pieszo aż spod Krakowa. Pieniądzy żadnych
nie mamy, najwyżej mogę pożyczyć — i po-
słała mnie do kościelnego pożyczyc, ale wy-
szła za mną, żebym nigdzie nie pożyczala
i powiedziała, że kościelnego nie ma, w domu
A on też już nie czekał, tylko zabrał się i po-
szedł. Po jego odejściu pytam się, kto to
był? — Ach, to taki wariat, ma coś w głowie
pomieszane. Widzisz, jak on jest ubrany,
ustawicznie by tylko wołał pieniądze. Poszła
do pokoju i więcej na ten temat nie rozma-
wiałam. Po paru dniach przyszedł list.
Kazała mi czytać jak zwykle i wtedy się do-
wiedziałam, kto to był ten „wariat”. Przy-
szedł pieszo spod Krakowa, bo jego żona
a siostra prefekta jest chora i są małe dzieci.
Pisał tak: — Tyś mój wychowanek, ostatnie
grosze zożyłem, byś był człowiekiem, ale te-
raz twoja siostra leży chora i to beznadziej-
nie. Do tej pory od ciebie nic nie żądałem,
ale wejdź w nasze położenie — idzie zima,
dzieci bez bucików chodzą. Twoja gospodyni
minie się czym prędzej pozbyla. Jak przy-
szedłem, tak poszedłem, nie chciałem już
twojej łaski. Toś ty jest sługa Boży? Oddałeś
mi za wychowanie? Niech ci Bóg za to do
wszystko zapłaci. — Po przeczytaniu list
spaliła, prefektowi nie oddała. Zresztą pre-
fekt sam w liście, podartej sukni chodził,
którą mu wciąż latała, ale za to dla jej brat-
ków, siostrzenic wszystko było.

Józefa Witowska

Jest jeszcze do nabycia pewna ilość roz-
ników „Wiś”

ZA ROK 1947 I 1948
CENA ROCZNIKA W OPRAWIE WYNOŚI
1500 ZŁ.

Zgłoszenia prosimy kierować na adres:
Administracja tyg. „Wiś”, Łódź, Piotrkow-
ska 133. Wysyłka za zaliczeniem pocztowym,
można także wpłacać na konto PKO:
Łódź VII 1080, Redakcja Tyg. „Wiś”, z za-
znaczeniem „za rocznik „Wiś” rok 1947
ew. 1948”.

ADMINISTRACJA TYG. „WIEŚ”

Maria Szwengrub

PSYCHOLOGIA DZIECKA WIEJSKIEGO



Na wycieczce

Fot. A. Minorowski

Zdziwiłam się, kiedy w przedmowie do
drugiego wydania książki dr Tadeusza
Klimowicza przeczytałam:
„Nie ulega bowiem najmniejszej wą-
tpliwości, że najdonioślejszym zjawis-
kiem socjalno-politycznym w ogólnej
sytuacji powojennej Państwa Polskiego jest
zdecydowane wysuwanie się na plan pierwszy
w życiu państwowym warstwy chłopskiej
(podkreślenia T. K.), co odpowiada nie tylko
jej liczebnej przewadze w narodzie i sile bio-
logicznej, lecz i pierwszorzędnym wartościom
duchowym, mogącym stanowić niewzruszoną
podstawę odrodzenia narodu i jego ewolucyj-
nego pochodzenia ku wielkości i potęgze”. Walka
z ludomanią wydawała mi się już zakoń-
czona. Widocznie tak jednak nie jest. Dla
pewnych naukowców „zdrowy rdzeń duchowy”

*) Dr T. Klimowicz „Psychologia dziecka
wiejskiego na tle ogólnej psychologii rozwoju
dzieci i młodzieży”, Spółdz. Wyd. „Chłopski
Świat”, W-wa 1948; str. 105.

Emma Altberg

Muzyka nie dla wszystkich

„O muzyce lubimy mówić w słowach
górnolotnych. Gniewamy się, że
nie ma ona żadnego podkładu lite-
rackiego, podejrzewamy, że miu-
zycy ukrywają przed nami jakieś nieznane
bliznie znaczenia dźwięków. Tymczasem mu-
zyka — to zorganizowany świat dźwię-
ków, ożywiony rytmem: znaczy tylko tyle,
ile się jej słyszy, ile nasza wyobraźnia
muzyczna potrafi jej wchłonąć i przy-
swoic sobie. Zbliżenie się do muzyki po-
winno polegać na uczeniu się bar-
wych powiastek, o utworach i kompozy-
torach, lecz na zdobywaniu metody pano-
wania nad dźwiękami, zauważania i koor-
dynowania ich w całości. Obcowanie z mu-
zyką — pomijając wszelkie uczuciowe do-
datki — to praca inteligencji, twórcza i ra-
dosna”.

Już ta cytata ze wstępu do książki, które-
mu przewodzi motto: „nie o muzyce bez mu-
zyki” — objaśni czytelnika, o co chodzi Ru-
dzińskiemu w „Muzyce dla wszystkich”.
Więc przede wszystkim — o podejście do
muzyki od strony zjawiska muzycznego, bez
balamucenia się literackiego, malarskiego
czy jakiego bądź innego. Praca Rudzińskie-
go pomyślana jest jako próba wtajemnicze-
nia w „sekrety” muzyki tych wszystkich,
którzy w niej widzą otchłanie i głębie, nie
podejrzewając... ziem uprawnych, kto — u-
wiedziony magią dźwięków — nie domyśla
się ich sprawnie działającej organizacji i we-
wnętrznego ładu, w każdej epoce uwarun-
kowanego dziesiątkami nakazów i zakazów;
kto nie przypuszcza nawet, że ten fantasty-
czny świat, działający na słuchacza przede
wszystkim emocjonalnie, rządzi się srogi-
mi prawami i wymaga nie tylko od swoich adep-
tów, ale i od swoich odbiorców — dyscypli-
ny i wysiłku umysłowego.

Wkraczamy na mozolną drogę inicjacji
muzycznej, drogę, która prowadzi od pro-
stych i niemal dziecińczych ćwiczeń, poprzez
szeregi przykładów i analogii zaczerpnię-
tych z rzadką pomysłowością z najrozma-
itszych dziedzin wiedzy i życia — w sam
gąszcz „puszczy muzycznej”, w maceczniki
problemów, w labirynty teoretycznych roz-
ważań. I nasuwa się uwaga: czy jest to istot-
nie książka dla wszystkich?
Rudziński zamyślił swoją książkę jako
dzieło popularizatorskie, a napisał, świetną
zresztą, encyklopedię muzyczną, którą można
i należy polecić gorąco nauczycielstwu mu-
zycznemu, studentom szkół muzycznych, wre-
szcie amatorom posiadającym już pewne

*) Witold Rudziński. „Muzyka dla wszyst-
kich”. Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kra-
ków, 1948.

wy”, podział na ludzi lepszych i gorszych
jest w ostatniej instancji zależny nie od spo-
łecznych konkretnych warunków życiowych,
a takich wrodzonych dyspozycji psychicz-
nych, które nas utrzymują „w stanie podzi-
wu i zachwyty dla wieczystej twórczości
przyrody” (str. 11).

Toteż, gdy autor dochodzi do zarysu psy-
chologii dziecka wiejskiego, nie bardzo może
sobie poradzić z klasyfikacją jego rozwoju:
wzywa na pomoc psychologię różniczkową,
systemy psychologiczne i struktury psychicz-
ne — różnych niemieckich i angielskich szkół,
by wreszcie godzić się z typologią Sprangera
i określić chłopca jako „ekonomiczny typ
człowieka”. A więc, u chłopca występuje prze-
de wszystkim „nastawienie na pożytek i rea-
listyczna praktyczność”, dalej (wg Fuchsa)
„pewna duma z siły i wolności”, bo „utilita-
ryzm, znamionujący chłopca jest konsekwen-
cją jego dążności do utrzymania i zwiększe-
nia poczucia niezależności, samodzielności”
(str. 48).

przygotowanie muzyczne, a przynajmniej
znajomość fortepianu czy organów, która po-
zwala na wygranie skomplikowanych nieraz
przykładów nutowych.

Bo książka Rudzińskiego nie jest łatwa.
Nie tylko dlatego, że unika tego co Rosjanie
tak świetnie nazywali „pustosłowiem” — ale
że autor nie oszczędził czytelnikowi ani je-
dnego niemal z podstawowych zagadnień
muzycznych, że w niewielkiej stosunkowo
książce chciał zmieścić całokształt wiedzy o
muzyce, zakładając u czytelnika odpowiednią
zaprawę umysłową i chłonność.

„Muzyka dla wszystkich” dzieli się na 3
działy, w których autor przedstawia kolejno
materiał muzyczny (tworzywo), mechanizm
kompozycji (dzieło) i aparat wykonawczy.

Dział I (Dźwięk) obejmuje tzw. w szko-
łach zasady muzyki, tj. podstawowe wia-
domości z akustyki muzycznej, oraz obszerny
wykład o rytmie, metrum, takcie, skalach
i tonacjach, odległościach, stroju muzycznym
etc. Dział II (Utwór) traktuje o dziele mu-
zycznym, jego budowie i fakturze (harmo-
nia, kontrpunkt, formy, zagadnienie treści
w muzyce etc.). Dział III (Szata dźwięko-
wa utworu) — zawiera wiadomości o instru-
mentach, poczynając od naturalnego, jakim
jest głos ludzki, kończąc na orkiestrze. Kon-
cowe rozdziały książki omawiają problemy
słuchania muzyki i organizacji życia mu-
zycznego. Świetnie pomyślane, nadzwyczaj
przejrzyste tablice i wykresy ułatwiają czy-
telnikowi orientację, liczne przykłady ilu-
strują tekst w sposób przekonujący, in-
deks, w który książka jest zaopatrzona (mo-
że nieco za skąpy), zastępuje słownik mu-
zyczny.

Nie wątpię, że „Muzyka dla wszystkich”
znajdzie czytelników wśród muzykalnej in-
teligencji, która uczęszcza na koncerty i w
poszukiwaniu właściwego podejścia do mu-
zyki interesuje się nowym przedmiotem —
lekcjami słuchania muzyki. Że trafi do mło-
dzieży szkolnej, która studiując poszczególne
dyscypliny muzyczne, w książce Rudzińskie-
go znajdzie próbę syntezy; że dla prakty-
ków muzycznych, którzy daleko już odbiegli
od ławy szkolnej, nowoczesne ujęcie zagad-
nień muzycznych przez awangardowego mu-
zyka, jakim jest Rudziński, będzie ciekawą
i pouczającą lekturą; że przysła się wielce
pedagogo, który chętnie i z pożytkiem
skonfrontują swoje wiadomości z dzisiej-
szym stanem wiedzy muzycznej. Że wiele z
niej skorzysta muzyk-popularyzator i wy-
kładowca przedmiotu — słuchania muzyki —
i organista na prowincji, i samouk, i kiero-
wnik chóru czy zespołów amatorskich, sło-
wem zarówno praktyk jak i amator.

„Zasadnicze cechy osobowości chłopca, od-
różniające ją od struktury psychicznej osobo-
wości innych warstw społecznych, są funkcją
setki lat trwającej pracy na roli” (str. 48).
Jakież są te cechy?

Chłop posiada „prawość”, „szczerłość” i
„prostotę życia”, ku którym zwracają się
oczy współczesnej tragicznej ludzkości, te-
skniącej do spokoju, pogody i czystości życia”.

Widać zatem, jak na dłoni, że kilkanaście
klasyfikacji (angielsko-niemieckich) szkół
psychologii, jakie autor powdgał od swoich
rozważań, służy tylko jako dekoracja nauki.

Spod tej naukowej rzekomo sztukaterii
wychylają się natarczywie **przeświadczenia**
autora, natury praktycznej, polityczno- kul-
turalnej. A więc:

Po 1) Pożytek, realistyczna praktyczność,
utilitaryzm, duma z siły i wolności — to, za
pozwoleniem, „psychologia” osobowości spo-
łecznej, a nie „wieczystej twórczości przyro-
dy”. Formulowano kiedyś te przykazania po-
stulatycznie. Wchodziły w skład podręcznej
biblii kapitalizmu. Miała ona wskazywać jak
dość od petit-bourgeois do grand-bourgeois.

Po 2) Te cechy a obok nich (i tym razem
górujące) „prawość”, „szczerłość”, „prostota
życia”, jako „funkcja setek lat trwającej pra-
cy na roli” — to znowu ścisły odwrot od
historii na rzecz mitu o jednolitości społecz-
nej i jednorodności „charakterów” ludności
wiejskiej, jaka rzekomo trwa przez wieki.
Pracą na roli próbuje autor zasugerować od-
wieczną „szlachetność” ludu wiejskiego. Wy-
szczy gatunek pracy! Szlachta miała większe
obszary, pewnie jeszcze większą pracę na ro-
li. Kulacy większą od biedoty. Szukajmy
szlachetności na roli i w zawieszonym w pró-
ni pojęciu pracy. Oto propozycja autora. Ty-
le mówią mu wieki.

Po 3) Na wszystkie te zmagazynowane ima-
ginacyjne cechy chce autor zwrócić „oczy
ludzkości”, ponieważ znajduje się w sytuacji
„tragicznej”. Zdaniem jego „teskni ona do
spokoju, pogody i czystości życia”. Teskni
zatem do sielanki, jaką autor wymalował jej
w obrazie stuleci wsi. Bo... pierwszy lepszy
już podręcznik ekonomii (kapitalistycznej!)
uczy, że praca industrialna jest wyższą, bar-
dziej skomplikowaną i trudniejszą (wyższy
system techniki produkcji) od rolniczej z plu-
giem. Od cięższej zatem pracy do lżejszej.
Zaiste, wygląda to na wywabianie ludzkości.
W tym radosnym odkryciu zapominał autor
nawet doliczyć pracę, która bądź co bądź be-
dzie ludzkość oczekiwać na roli. A może i nie
zapomniał o tym, że o niej pojęcia nie ma
jako o procesie historycznym. Eliminuje ją
z rachunku, prac do roli, do ziemi, do „wie-
czystej twórczości przyrody”, która daje w
zukunftu ukojenie i szlachetność.

Te trzy wyliczone punkty wskazują na ga-
limatias dydaktyczno-polityczny autora. Wy-
ciaga szufladę i z okresu dorobku elity chłop-
skiej na kapitalizm i z okresu zwątpień in-
teligencji w cywilizację (hm, kapitalistyczną).
Ostatecznie ze względu na minione **dobro**
dzieje wsi i praplastowskość, i dumę drob-
nego kapitalisty wiejskiego (różne okresy do
kupy) zaprasza ludzkość na tę wyspę Cerery.

W tym, w czym jest ona poza wsią, jest
„tragiczna”. Ryczałtem!

Ale „tragiczna ludzkość” nie w haśle po-
wrotu do natury, a w walce z nią i opanowa-
niu jej szuka ratunku. Osobowość chłopca w
pokoleniu każdym powstawała nie „z głębo-
kiego życia się z rytmem zjawisk przyrod-
niczych”, a z ciemnoty i zacofania, z funkcji,
którą pełnił w społeczeństwie feudalnym i
kapitalistycznym, z jego postawy religijno-
magicznej wobec zjawisk przyrodniczych,
a nie ich znajomości.

I dlatego zawracaniem głowy, a nie postu-
latem „wieczyste etyczne” — jest żądanie
autora „nastawienia socjalno-etycznego, prze-
nikniętego głęboką religijnością” nauczyciela
do wychowania, jak i tylko „umiłowanie
(przez nauczyciela) — wzniosłej i pełnej nie-
wysłowionego czaru pracy kształtowania mło-
dzieży jako spadkobierczyń osiągniętych już
wartości i dóbr kulturalnych oraz kontynua-
torki wieczystego pędu wzwyż” (str. 30). To
nie tylko personalizm. To samo mówił pan,
ksiądz, kapitalista, mieszczański reformator.

Ponieważ T. Klimowicz stanowisko to
przyjmuje, dużo trudności w wyjaśnieniu
sprawia mu fakt, że przy badaniach testo-
wych dzieci wiejskie wykazywa wiele niższą
inteligencję jak miejskie. Widzi, że jest tu
coś nie w porządku — ale co, tego nie wy-
jaśni.

I tak, z jednej strony mamy warstwę
chłopską, jako „niewzruszoną podstawę od-
rodzenia narodu i jego ewolucyjnego pochod-
ku ku wielkości i potęgze” (str. 7) — z drugiej
dziecko wiejskie, mniej inteligentne od dziec-
ka miejskiego.

Autor wprowadzie we wstępie wspomina, że
dotychczasowe badania nad rozwojem struk-
tury psychicznej dzieci i młodzieży dotyczyły
głównie badań nad dziećmi z rodzin burżu-
azyjnych i inteligentnych, tym niemniej „przy-
kłada” dziecko wiejskie do modelu tamtych
dzieci. I sugeruje: zawróćmy do „wieczystej
twórczości przyrody”.

Ale my żyjemy w historii i chcemy, kon-
kretnych wyjaśnień — dla budowy państwa
socjalistycznego. Tego niestety w książeczce
dr T. Klimowicza nie ma, mimo pewnych po-
zorów — bo „państwowotwórczych” cytatów
praca zawiera sporo, ale chyba tylko po to,
by maskowały jej prawdziwy rodowód...

Paulina Czyżowa

MŁODZI DZIAŁACZE—PUBLICYŚCI NA WSI



Fragment ze zjazdu młodych korespondentów „Nowej Wsi”

W dniach 5–7 marca odbył się w Warszawie I Zjazd korespondentów „Nowej Wsi”, tygodnika organu ZMP. Otrzymałmy też sprawozdania, które warto przemysleć.

„Nowa Wieś” jest na gruncie zjednoczonej organizacji młodzieży przedłużeniem „Wici”, pisma młodzieży wiejskiej, które mając dawniejsze tradycje zdążyło znaleźć na wsi odbiorców w kołach młodzieży zorganizowanej. Trudności nowego pisma są oczywiście wyznaczone przez trudny okres wstępujący nową, zjednoczoną organizację młodzieży. Trudności te są z pewnością większe na wsi, niż w mieście. „Wici” nawet po okresie demokratyzacji nie wyzbyły się w zupełności tendencji „odrębności chłopów”, nad czym do końca dyskutowano, pewnej nawet swoistej ludomani w traktowaniu spraw wsi na

odrębnej płaszczyźnie, niż innych zagadnień społecznych.

Toteż, niektórzy starzy działacze wiciowi z konieczności musieli ustąpić nowym, młodszym, często mniej wyrobionym społecznie, ale wolnym od wiciowych błędów. Głównym zadaniem ZMP na wsi stało się od początku wykształcenie nowego młodego aktywu organizacyjnego. Zjazd korespondentów „Nowej Wsi” miał nie inną rolę, jak skrzyknąć najbardziej wpływową część wiejskiego aktywu — korespondentów pisma.

Wśród nazwisk korespondentów, jakie znajdujemy na szpaltach pisma, jest paru znanych nam starszych, zawodowych niemal korespondentów chłopów pism. Olbrzymia jednak większość uczestników zjazdu stanowi niewątpliwie nowy pod każdym względem narybek. Jest to młodzież gimnazjalna i licealna, studenci wyższych uczelni, nowa inteligencja wsi. „Zawód” korespondenta gazet ma swoją dawną tradycję na wsi, pozostaje w związku z politycznym ruchem ludowym od końca XIX wieku. Korespondent gazety to zawsze bywał nie tylko „pisarz”, ale właśnie działacz, często człowiek, którego nosiło po świecie, który ze wsi z powodów najczęściej ekonomicznych wychodził. Nowe pokolenie korespondentów jest to młodzież, zdobywająca prawidłowe już wykształcenie średnie, wychodząca ze wsi do szkoły, a powracająca na wsi w funkcjach działaczy. W dyskusjach zjazdu wielokrotnie występował ten problem, problem powrotu na wsi i problem solidarności ze środowiskiem rodzinnym. To przedłuża się bodaj z dobrych tradycji „Wici”. Modele: panowie—chłopi, tak jak to ujął kiedyś prof. Chalasiński załamały się w dwutorowych dążeniach młodego pokolenia chłopów. „Wici” podtrzymywały, nie zawsze słusznie ideologicznie, chłopstwo wsi, chłopstwo własną i to mimo charakterystycznego konfliktu: starzy — młodzi. Podobnie na zjeździe „Nowej Wsi” stawiano postulat „chłopskości”: „nie wyszereżyliśmy się, nie zachorowaliśmy na pana”. Tylko motywy tej „chłopskości” są dla młodych działaczy — studentów i licealistów zupełnie nowe. Ze chłopak wiejski w mieście wstydił się własnego

*) Patrz art. Anny Kamińskiej „Kultura drukowana” „Wieś” 1948 Nr 13–14.

ojca, to była zdrada środowiska moralna. Tu chodzi o solidarność społeczną, proletariacką (większość działaczy z grupy małopolskich). Dziś rozdział między młodą i starą wsią ma bardziej polityczno-społeczny niż obyczajowy charakter.

Korespondenci są działaczami, którzy w założeniu powinni mieć szerszy niż zwykli praktycy ogół spraw wsi, którzy siedząc w terenie, lub robiąc systematyczne wypadki na wieś umieliby widzieć i wykorzystywać przejawy „nowego” na wsi, tak jak to np. D. Gajl uchwylił w swoich „22 spadkobiercach” we „Wsi”. Krytyka korespondencji, jaka wyłoniła się z dyskusji, pokrywa się z tym, co istotnie widzimy w „Nowej Wsi”. Pismo dobre w części informacyjno-politycznej pora się z niecierpliwością publicystyki, młodych korespondentów, czasem i z frazeologią, i pseudo-marksistowską sztafą wypowiedzi „ideologicznych”, tych pisarzy ze szkolnej ławy lub na odmianę z pesymizmem korespondencji, których konkretne chłosty społecznie szkodliwych wydarzeń na wsi są za wąskie w wyjaśnieniach.

Sprawa kształcenia aktywu „pisarskiego” jest więc dla ZMP na wsi pilna i ważna. Wiele mówi tu fakt, że redaktor „Nowej Wsi” ocenia, jak dotąd, wyżej korespondencje współpracowników po 4–5 klasach szkoły powszechnej, niż te „gimnazjalne”. Zapewne, gra tu rolę większe doświadczenie społeczne siedzących na wsi i zainteresowanych bezpośrednio w życiu wsi.

W każdym razie pomysł skierowania młodzieży gimnazjalnej i licealnej na robotę oświatową na wieś, pomysł wysuwany już kiedyś u nas (J. A. Król — „W promieniu 50 wsi”) został tu w części praktycznie zrealizowany. Od siły ideologicznej członków organizacji i ich wiedzy zależeć będzie wynik tej ważnej roboty. Ważnej również w zakresie wprowadzenia szerokiego kręgu młodzieży licealnej w próby pisarskie, nie ograniczone do „szkolnych ćwiczeń” (dla tzw. szkolnych pism) i egotycznych wzruszeń z okresu dojrzewania ale przeciwnie, przeniesione w praktykę i doświadczenie społeczne wsi, wymagające odpowiedzialności działacza, jego orientacji społecznej i sztuki praktycznych rozwiązań.

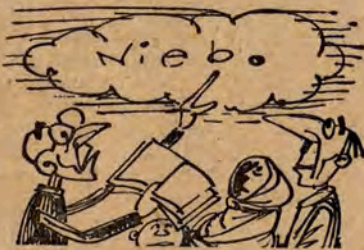
Aniela Wyręba

A JEDNAK OBRONA KAPITALIZMU

K. Piwarski kończy swój artykuł o „Kryzysie francuskim” („Wieś” Nr 10, 49 r.) zdaniem: „Z ciężkiego kryzysu może ją (Francję) wydobyć, może ją ocalić jedynie lud francuski, pod przewodnictwem klasy robotniczej”.

W równoległym numerze Tygodnika Powszechnego ks. Karol Wojtyła w artykule pt. „Mission de France” pisze „Ruch wewnętrznych misji nie wyrósł tam (we Francji) ani z teorii, ani z doświadczenia — wyrósł z konieczności życia, jego realnych warunków”.

O co chodzi ks. Wojtyłę? Coż to za misja? Otóż dla ks. Wojtyły, w momencie gdy Francja wroci od wewnętrznych walk, najważniejsze jest odrodzenie Kościoła katolickiego, jako „zbiornika kultury katolickiej, zasilaającego nie tylko Francję, ale cały katolicyzm”.



Coż to jest „Mission de France”? Ruch apostołski, istniejący we Francji od 1940 r. Celem jego — powrót świata katolickiego do stosunków „prostoty ewangelii, do jej ducha i żarliwości”. Jego twórcy „rozumieją, że wygasa pewien typ kultury, że wiele tradycji ongiś żywych stało się już tylko pustym dźwiękiem. Przewidują więc i planują. Plan ten polega głównie na tym, by w narastające życie i jego nowe formy wprowadzić zasady ewangelii. Na tym polega głównie działalność francuskich placówek misyjnych. Nie jest to działalność oporu, sprzeciwu, działalność „anty” — przeciwnie, jest to działalność pozytywna, konstruktywna, dążąca do budowania. Uwzględni ona wymogi dzisiejszego życia, dzisiejszej psychiki, dzisiejszych warunków. Wszystkie te zmiany usiłuje wciągnąć w orbitę ewangelii i tak dąży do wytworzenia nowego typu kultury chrześcijańskiej”.

Jakie są drogi do tej nowej kultury? „Ks. Godin był apostołem paryskich przedmieść, tam przejął sposób życia ich mieszkańców, stał się do nich podobny we wszystkim. Różnił się tylko jednym: pełnym, osobistym posiadaniem ewangelii”.

Inni księża postępują podobnie. Wchodząc między robotników, sami stają się robotnikami. Przyjmują ich stopę życiową, nawet trochę niższą. Nie biorą opłat za usługi liturgiczne. Wszystko to pięknie. Ale autor twierdzi, że we Francji 90 proc. katolików jest praktykujących, więc po co te mocne zdania: nawracanie współczesnych pogan, zapobieganie spoganieniu? Obrona przed... „materializmem”? Po co to wszystko?

Ks. Wojtyła wyjaśnia. „Ale niezależnie od tego, czy sposób ten misji apostołskich jest słuszny, czy nie, musimy skonstatować fakt, że jest to na pewno jedno z owych żywiołowych objawień się Ducha Bożego, który nieustannie ujawnia się w życiu Kościoła, coraz nowe, dotąd nie przeczuwane ukazując ścieżki drogi”.

I dalej, w tym samym stylu, zupełnie „apolitycznie”. A jednak... za mistyką, w tajemniczym i pochwałą ubóstwa, czy kryje się tylko negacja świata i zwrócenie oczu na życie pozaziemskie?

Francuski socjolog Gabriel le Bras od kilku lat przeprowadza badanie nad stanem katolicyzmu i ewolucją prawa kanonicznego we Francji. Jego dotychczasowe badania wykazały, że religijność Francuzów — my wiemy, że nie tylko Francuzów — związana jest ściśle z układem sił ekonomicznych, stanem cywilizacji, interesem klasowym. Le Bras stwierdza, że zmiany nakazów religijnych widzi ich zależność od układu sił społecznych, instytucji świeckich i kościelnych.



Postępowe mieszczaństwo wielkiej rewolucji francuskiej odeszło od Kościoła — zagrożone w swych interesach przez proletariatus w XIX w. wróciło na jego łono.

Le Bras stwierdza z całą pewnością, że w wieku XIX Kościół był na usługach kapitalizmu.

A co w wieku XX?

Jak nazwać narzucanie i pochwałę nędzy i ubóstwa?

Propozycja pod adresem robotników (bo przede wszystkim o nich i o chłopach mowa w artykule) na godzenie się z ciężkim materialnym losem? Głoszenie upadku materializmu — czyżgo?

Działalność nie oporu, nie sprzeciwu — wobec jakich klas, jakiego ustroju? Zaiste jest to działalność konstruktywna — podobna do roboty druciarzy — drutowanie pękającego systemu kapitalistycznego. W języku bardziej politycznym oznacza to misję ujarzmiania mas ludowych Francji na rzecz kapitalizmu.

Krzysztof Sławiński

NOWE DROGI

Pierwszy tegoroczny numer „Nowych Dróg” prezentuje się wyjątkowo bogato. Można by wymienić chociażby przemówienie prezydenta Bieruta na Kongresie PZPR, referat Romana Zambrowskiego w sprawie sytuacji na odcinku młodzieżowym, ciekawy artykuł min. Henryka Golańskiego na temat inteligencji technicznej, artykuł Stalina „W sprawie rządu robotniczo-chłopskiego”, artykuł prof. Adama Schaffa o Kazimierzu Kellies-Krauz, artykuł wybitnego ekonomisty amerykańskiego, Jamesa A. Allena „W sprawie kapitalizmu państwowego i socjalizmu” i wiele innych, by dać obraz różnorodności materiału w nowym numerze czołowego teoretycznego organu PZPR.

Byłoby oczywiście techniczną niemożliwością omówić wszystkie sprawy zawarte w 1 (13) numerze „Nowych Dróg”. Zatrzymamy się więc tylko nad niektórymi. Przede wszystkim więc artykuł Stalina. Porusza nader istotne i skomplikowane zagadnienie charakteru rządu i państwa w okresie dyktatury proletariatu. Stalin udziela odpowiedzi na pytanie: czy rząd w okresie dyktatury proletariatu jest rzeczywiście rządem robotniczo-chłopskim, czy też hasło rządu robotniczo-chłopskiego ma charakter wyłącznie agitacyjny? Stalin zbija w sposób zdecydowany drugą tezę. „Nie wolno stawiać zagadnienia tak, jak stawiają je niektórzy towarzysze: „rząd robotniczo-chłopski faktycznie czy też jako hasło agitacyjne” — pisze. — Nie wolno mówić, że chociaż w rzeczywistości nie mamy rządu robotniczo-chłopskiego, mimo to możemy mówić o rządzie robotniczo-chłopskim, jako o hasle agitacyjnym. Przy takim postawieniu sprawy wynika, że partia nasza może wymagać hasła zawierającego fałsz wewnętrzny, które w rzeczy samej są bezpodstawne, w które partia sama nie wierzy, ale które partia mimo to rzuca, aby oszukać masy. Tak postępować mogą eserowcy, mieniszewcy, burżuazyjni demokraci, gdyż rozbieżność między słowem a czynem i oszukiwanie mas jest jednym z głównych środków, których imają się te obumierające partie. Ale nigdy w żadnych warunkach nie może w ten sposób stawiać zagadnienia nasza partia, gdyż jest ona partią marksistowską, partią leninowską, partią rozwijającą się, czerpiącą swe siły z tego, że jej słowo nie mija się z czynem, że nie oszukuje mas, mówi masom jedynie prawdę i buduje swą politykę nie na demagogii, lecz na naukowej analizie sił klasowych”.

Należy więc stawiać sprawę tak, że albo rząd robotniczy nie istnieje, a wówczas tego rodzaju hasło jest zbędne i fałszywe — albo istnieje i odpowiada faktycznemu układowi sił klasowych i wówczas jest hasłem słusznym i rewolucyjnym.

W dalszym toku wywodów Stalin, powołując się na Lenina mówi, że państwo dyktatury proletariatu jest władzą jednej klasy, mia-

nowicie proletariatu, z drugiej jednak strony „dyktatura proletariatu jest to szczególna forma sojuszu klasowego między proletariatem, awangardą mas pracujących, a licznymi nieproletariackimi warstwami mas pracujących (drobna burżuazja, właściciele drobnych warsztatów, chłopstwo, inteligencja itd.).

Czy istnieje sprzeczność między tymi dwiema formułami? Oczywiście, że nie. W jaki sposób osiąga się w takim razie władzę jednej klasy (proletariatu) w warunkach sojuszu klasowego, powiedzmy, z podstawową masą chłopstw? Na drodze urzeczywistnienia w tym sojuszu kierowniczej roli stojącego u władzy proletariatu („awangarda mas pracujących). Władza jednej klasy, klasy proletariatu, realizowana przy pomocy sojuszu tej klasy z podstawową masą chłopstwa drogą państwowego kierowania tym ostatnim — oto zasadnicza myśl tych dwóch formuł.

To samo trzeba powiedzieć w sprawie rządu robotniczo-chłopskiego. Jakaż może być sprzeczność w tym, że proletariacki charakter naszego rządu i wypływające stąd zadania socjalistyczne nie tylko nie przeszkadzają mu, lecz wręcz przeciwnie, pobudzają go, nieodwrotnie pobudzają do prowadzenia polityki zachowania i umacniania sojuszu robotniczo-chłopskiego, jako najważniejszego środka realizacji socjalistycznych, klasowych zadań dyktatury proletariackiej w naszym chłopskim kraju, że wobec tego rząd ten nazywa się rządem robotniczo-chłopskim?

Czyż nie jest jasne, że Lenin miał słuszną przewidywał hasło rządu robotniczo-chłopskiego i określając nasz rząd jako rząd robotniczo-chłopski?

Tak więc Stalin w sposób jasny i precyzyjny motywuje i uzasadnia, że rząd w okresie dyktatury proletariatu ma charakter robotniczo-chłopski.

Min. Golański w swym artykule analizuje nader ciekawie zagadnienie inteligencji technicznej. Naprzód kreśli krótką historię lat poprzednich — roli inteligencji w ustroju kapitalistycznym. Następnie kreśli wielką perspektywę, jaką stawia plan 6-letni na polu wykształcenia nowych kadr inteligencji technicznej.

„Wytyczne planu 6-letniego stwierdzają — pisze — że w okresie sześciolecia winno zostać przeszkolonych w zawodach nierolniczych ponad 800–900 tysięcy robotników, od 80–100 tysięcy techników, i około 24 tysięcy inżynierów”.

Jakimi metodami można uzyskać te wielkie liczby?

„Widzimy trzy drogi:

1. Z szeregów inteligencji technicznej, tkwiącej dziś w aparacie wytwórczym, przekształcenia części kroczącej w jednym szeregu z klasą robotniczą na taką inteligencję,

która poczuje się przynależną do tej klasy, która fakt powiązania swego z klasą robotniczą uzna za swe zadanie życiowe i awans społeczny.

2. Wychowanie nowych i coraz liczniejszych kadr naszej młodzieży robotniczej, młodzieży ze środowiska mało- i średniorolnego chłopstwa. Ta młodzież po przejściu przez rozbudowany system szkolenia zawodowego, zapewniający rzetelną wiedzę, opartą o marksizm i leninizm, uzbrojona w wiadomości techniczne w takim zakresie, w jakim to jest niezbędne dla danego zawodu i poziomu wykształcenia, ta młodzież przepełniona duchem walki o realizację socjalizmu w Polsce zapewni nam zwycięstwo.

3. Uruchomienie dostępnych dźwigni dla rozszerzenia, pogłębienia i wydawnego przyspieszenia procesu awansu społecznego robotników. Musi być dokonany przełom w akcji wysuwania robotników na stanowiska kierownicze, w uzbrajaniu wysuniętych robotników w niezbędne wiadomości techniczne i wiedzę ogólną”.

Postawione przez min. Golańskiego zagadnienie jest nader istotne. Oznacza ono z jednej strony zasadniczą zmianę naszej struktury gospodarczej z rolniczo-przemysłowej na przemysłowo-rolniczą, powtórze, utworzenie dróg awansu społecznego licznym rzeszom młodzieży wiejskiej i robotniczej, oraz likwidację utajonego bezrobocia na wsi.

Prof. Adam Schaff w artykule o Kazimierzu Kellies-Krauz — obnaża kursującą jeszcze wśród niektórych odłamów naszej inteligencji mit, jakoby Kazimierz Kellies-Krauz był reprezentantem rewolucyjnego marksizmu i konsekwentnego materializmu historycznego. W szczegółowej analizie, opartej o pisma Kellies-Krauze udowadnia jego oportunistyczny i reformistyczny pogląd społeczny i polityczny, a przy tym wykazuje idealistyczny charakter jego poglądów filozoficznych i historycznych.

Należy jeszcze podkreślić ciekawy artykuł Jamesa A. Allena „W sprawie kapitalizmu państwowego i socjalizmu”. Artykuł ten jest samokrytyką znanego ekonomisty amerykańskiego. Stwierdza w nim autor, że poglądy jego na temat kapitalizmu państwowego w krajach demokracji ludowej, wyrażone przezeń w książce „World Monopoly and Peace” są błędne. Poglądy te spotkały się z krytyką organu KCWKP(b) „Bolszewik”. Allen uznał słusność krytyki i w tym właśnie artykule koryguje swe błędy.

Artykuł Allena jest dowodem wielkiej roli, jaką odgrywa marksistowska krytyka i samokrytyka.

Pokrótkie omówione problemy nie wyczerpują wszystkich zagadnień zawartych w nowym numerze „Nowych Dróg”. Jest to numer — powtarzamy — nader ciekawy i bogaty.

Mile ziego początki

W Stanach Zjednoczonych istnieją ekonomści — wróżbiarze, którzy trudnią się przepowiadaniem koniunktury gospodarczej. Ostatnio 34 takich uczonych wywróżyło w specjalnej ankiecie bardzo pomyślny rok dla USA. Oto niektóre tylko przewidywania: wartość amerykańskiej produkcji za rok 1949, licząc brutto spadnie na 256 miliardów dolarów w stosunku do 240 miliardów dolarów z roku 1948. Natomiast liczba bezrobotnych wzrośnie z 1.800.000 ludzi w 1948 roku na 2.500.000 (nie licząc częściowo lub dorywczo zatrudnionych). Wskaźnik cen artykułów rolniczych spadnie z 270 w 1948 r. na 250 w bieżącym, ale zbyt towarów na rynku wewnętrznym zmniejszy się o 8 proc.



Komu więc wywróżyli ekonomści dobry rok? 2.500.000 bezrobotnym? Chyba nie. Farmerom? Także nie, choć zapowiada się dobry urodzaj. Może przeciętnemu konsumentowi? Także nie, ponieważ jego siła nabywcza zmniejszy się o 8 proc. w stosunku do minionego roku. Zatem tylko wielkim kapitalistom, którzy rok rocznie rozpisują i opłacają ankietę wypełnianą przez ekonomistów — wróżbitów. A wróżbię kłamią dosłownie jak — najęci. Wiadomo bowiem, np., że stan ogólnego zatrudnienia w USA gubił się z 61,1 milionów w 1946 do 57,6 milionów w styczniu br. To znaczy, że obecnie mamy już nie 2,5 mil., ale 3,5 miliona bezrobotnych. I wiadomo również, że Stany Zjednoczone zbliżają się do kryzysu gospodarczego, który nieuchronnie wynika ze sprzeczności w kapitalistycznej gospodarce. Nawet osławiony plan Marshalla nie rozwiązuje tych sprzeczności. Bo wiadomo — kryzys wisi już nad Francją, Belgią, Holandią i Włochami.

Fakt, że nawet jeszcze w bieżącym roku (choć trudno sprawę przesądzić) amerykańscy monopolisci wyładują sobie kieszenie dolarami nie odsunie ani na trochę widma kryzysu ekonomicznego. Można by przypomnieć przysłowie: „mile ziego początki”.

J. S.

Dlaczego?

„Dlaczego marnują się narzędzia pracy w chorzowskiej kopalni „Barbara — Wyzwolenie” — zapytuje „Trybuna Ludu” z dnia 14 marca br. Za bramą szybu „Barbara” leży kilkadziesiąt zwójów drutu, który ma być użyty do budowy magazynu. Drut zarzewia... Pod sortownią... leży spora góra żelastwa pokryta obecnie śniegiem. Żelazo to wyjeżdża z kopalni razem z węglem... są to nawet narzędzia pracy, jak kilofy, łopaty... „To” leży...”

Jednocześnie w tym samym numerze „Trybuna Ludu” czytamy artykuł inż. Jana Czarnowskiego pt.: „Inżynierowie i technicy w walce z marnotrawstwem”. Czytamy tam: „Maksymalne obniżenie kosztów produkcji, oszczędne zużywanie surowca i materiałów pomocniczych, racjonalna eksploatacja maszyn, walka z wszelkimi przejawami marnotrawstwa w każdej dziedzinie życia gospodarczego — to jedno z czołowych, jedno z najbardziej bojowych zadań, które przed inżynierami i technikami stawia Rząd i Partia”.

Uchwała Rady Ministrów o wprowadzeniu planowego systemu oszczędzania w gospodarce narodowej nie jest „nakazem” mechanicznego oszczędzania — ale reguluje stosunek człowieka do instytucji, do pracy, — „Oszczędzanie” to jedna z form walki przeciw klasowemu obcyemu, spekulacyjnym i antyludowym elementom. Dlatego pytanie „Trybuna Ludu” — „dlaczego” nie powinno zawisnąć w próżni, ale rozciągnąć się i daleko poza kopalnię „Barbara — Wyzwolenie”, tam wszędzie, gdzie pod tą czy inną postacią zdołał się przecisnąć wróg klasowy.

Z. A.

W kraju „wolności”

Sluchaczom londyńskiego „Bum, bum, bum, bum” i jednocześnie obrońcom i zwolennikom tzw. „wolności amerykańskiej” polecam dla pokrzepienia ducha lekturę artykułu prof. Dr. M. L. Szyfmana „Burzliwy sąd naszych dni w służbie reakcji”, ogłoszonego w 2 numerze „Demokratycznego Przeglądu Prawniczego”. Też artykuł jest (oczywiście) panowie „bum, bum”, lekko się teraz zskrzywia), że sąd burzliwy zawsze był narzędziem walki wyzyskiwaczy przeciwko pracującym. Jednak uzasadnienie tej tezy, na przykładach jurysdykcji sądów amerykańskich, angielskich, francuskich, grecko-faszystowskich zmaże ten krzywy uśmiech z twarzy naszych interlokutorów. Bo posłuchajmy tylko jednego wycinka (akcja toczy się w USA):

1) za udział w ruchu postępowym „na podłodniu w ciągu ubiegłego roku zlinczowano kilkuset Murzynów”;

2) w Haarlem w ciągu ostatnich miesięcy policja bestialsko skatowała siedemnastu Murzynów;

3) w marcu 48 r. w mieście Mobil (stan Alabama) 20-letni Miller zabił Murzyna Dawesa za wypowiedzenie opinii, że w ostatecznym rezultacie Murzyni w USA otrzymają równe prawa;

4) za jazdę pociągiem rzekomo bez biletu obsługa kolejowa zastrzeliła weterana ostatniej wojny światowej Murzyna George Serrelę;

FAKTY i ZDANIA

5) w stanie Georgia Murzyna, Rosa Ingram i dwaj jej synowie 14 i 17 letni chłopcy zostali skazani na śmierć za to, że „usiłowali obronić swoją matkę przed kulą białego sąsiada”.

Itd., itd., mnożyć można przykłady „wolności amerykańskiej”, przykłady, w których zawsze biały morderca jest przez sąd uniewinniony. Nic dziwnego. Prof. Szyfman stwierdza, że te fakty bezprawia są tylko politycznym preludium do przygotowywanego na ogromną skalę ataku na demokratyczne elementy w USA.

Czy nie miał racji poeta murzyński, kiedy w kołysance dziecięcej użył porównania białego człowieka zamiast wilka? Z.

W obronie pokoju

Dnia 20. IV. rozpoczyna się w Paryżu obrady Światowego Kongresu w Obronie Pokoju. Codziennie napływają do biura Kongresu nowe zgłoszenia, akces zgłaszają związki zawodowe, masowe organizacje demokratyczne, organizacje młodzieżowe, związki byłych kombatanów, zrzeszenia intelektualistów. Narasta w oczach olbrzymi front pokoju, łączący ludzi pracy i nauki całego świata. Jakich wyników mamy oczekiwać od kongresu, który reprezentuje interesy, pragnienia i nadzieje olbrzymiej większości ludzi i narodów świata?



„Dwa podstawowe czynniki — stwierdza jeden z przedstawicieli polskiej nauki na kongres, prof. U. L. dr Józef Chałasiński — stwarzają realne podstawy dla akcji w obronie pokoju. Pierwszym jest fakt, że akcja przeciw wojennej w różnych krajach zyskuje ogromnie na sile przez to, że znajduje oparcie w Z.S.R.R. i w krajach demokracji ludowej. Drugim czynnikiem jest fakt, że nawet w krajach kapitalistycznych, historyczny proces demokratyzacji postąpił już tak daleko, że dla wojny potrzeba moralnej aprobaty narodu.”

Wiadomo, jak istotną rolę odgrywa w nowoczesnych wojnach propaganda, mająca przekonać naród o potrzebie i celach wojny. Propaganda ta ma na celu zdobycie moralnej aprobaty narodów dla wojny. Bez aprobaty tej wojny prowadzić nie można.

Światowa akcja obrony pokoju może się temu skutecznie przeciwstawić.

Aprobaty na wojnę milionowe rzesze ludzi pracy odesobnionie kłicie imperialistów — nie dadzą i będą walczyć w obronie pokoju.

S.

Znasz-li ten kraj?

Cytujemy pismo — „Dziennik dla wszystkich” z lutego b. r.: „...dwie wielkie unie należące do CIO, a to: unia krawców męskich i robotników przemysłu samochodowego (UAW), na czele której stoi W. Reuther, postanowiły nie domagać się podwyżki zarobków. Takie samo stanowisko zajęła unia robotników przemysłu tekstylnego. W ten sposób front czwartej podwyżki, który niedawno zarysował się bardzo wyraźnie w uniach robotniczych, został złamany... Podwyżka płac pociągnęłaby podwyżkę cen... Wycięcie cen i płac nieuchronnie prowadzi do inflacji... Robotnicy, ba, nawet zarządy unii nie zdawali sobie sprawy z tego, co kryje się za popularyzowanymi hasłami podwyżki, wymi”.

W jakim to kraju uważa się, że walka robotników o wyższe zarobki prowadzi do ich własnej ruiny? W Stanach Zjednoczonych. A cóż za ekonomista pisze te słowa? Alojzy Adamczyk, WRN-owiec, zbiegły z Polski, obecnie kierownik agencji prasowej — Polsko-Amerykańskiej Rady Pracy, prawa ręka „socjalisty” Zaremby. Pismo finansuje Rozmarek, prezes Kongresu Polonii, a Rormarka — Morgan, Rockefeller i Ford.

Jakie są skutki tej zabawy w WRN-owski „socjalizm”? Realna wartość zarobków amerykańskich (w tym wielu polskich) robotników spada z początkiem 1949 roku o 30% w stosunku do roku 1945. Natomiast zyski monopolu amerykańskich osiągnęły w r. 1948 zawrotną sumę 21 miliardów dolarów.

Mówią to wszyscy uczeni ekonomści w USA, a widzi cały świat.

p. p.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII-1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2.

D-032541

O ZAM-pie i wiejskich szkołach

Do Redakcji „Wsi”
W związku z listem zamieszczonym w 12 numerze „Wsi” z dn. 20.III.49 pisany przez dzieci ze szkoły w Potulicach, proszę Sz. Red. o zamieszczenie niniejszego listu.

Bardzo mnie wzruszyła prośba dzieci, które chcą, aby ich szkoła nie była gorsza od innych, ale nie zawsze mogą sobie same poradzić. Zbieranie kasztanów, szyszek i żołądź, sprzedawanie ich z przeznaczaniem pieniędzy na potrzeby szkoły, to rzeczywiście godny najwyższej pochwały przykład. Dzieci ze szkoły w Potulicach zdają sobie sprawę z doniosłego znaczenia faktu zjednoczenia obu partii robotniczych i w związku z tym na wzór kopalni Zabrze-Wschód przystępują do wysiłku pracy. Dzieci pragną, aby ich szkoła posiadała także własną bibliotekę, ale książki są za drogie i dzieci nie mogą sobie same poradzić.

Proszę o pomoc.
Uważam to za wielki wstyd dla nas, studentów-zampowców, że dopiero prośba i list dzieci zwracają naszą uwagę na tę sprawę. My możemy i powinniśmy bezwzględnie takim dzieciom i szkołom pomóc. Myślę, że gdyby każde nasze koło wzięło sobie jedną szkołę pod opiekę, dbało o jej potrzeby, organizowało pogadanki dla dzieci, interesowałoby się w ogóle życiem szkoły — nie byłoby więcej takich listów. Sądzę, że leży w naszych możliwościach stworzenie w każdej szkole wiejskiej świetlicy, w której dzieci znalazłoby to, czego im brak. Powinniśmy się bezwzględnie nad tą sprawą zastanowić i znaleźć należyte organizacyjne jej rozwiązanie.

Studentka U. Ł.

Aż się wierzyć nie chce

W bieżącym miesiącu odbywają się w Stanach Zjednoczonych narady w sprawie ubezpieczeń społecznych, poprzedzające oficjalne zarządzenia w tej sprawie. Jak wiadomo USA w ogóle nie posiadają ministerstwa zdrowia. Przeciw ubezpieczeniu chorob prowadzona jest odpowiednio finansowana kampania, inspirowana przez Stowarzyszenie Doktorów i fabrykantów preparatów medycznych.

Z budżetu, proponowanego przez prezydenta Trumana wynika, że Stany Zjednoczone przeznaczają dziesięć razy więcej dolarów na doskonalenie sprzętu wojennego (21 miliardów dolarów) niż na walkę z chorobami (2 miliardy 250 milionów dolarów).

Wallace toczy w imieniu Partii Postępowej walkę o opiekę społeczną dla amerykańskiego świata pracy. Zapropował ostatnio, aby wydatki zbrojeniowe zmniejszyć z 21 miliardów dolarów na 7 a wydatki na opiekę społeczną zwiększyć do 16 miliardów dolarów. Pieniądze te posłużyłyby na wybudowanie 2 milionów domów mieszkalnych, szpitali, ochroniek dla tych robotników amerykańskich, o których „się nie mówi”. W świadomości wielu mieszkańców „starego świata” utrwalił się obraz amerykańskiego robotnika jeżdżącego własnym samochodem do fabryki. Mnie ma się, że są robotnicy, zarabiający ponad 5.000 dolarów rocznie, z racji wysokiego zarobku zwolnieni od szeregu podatków, m. in. asekuracyjnego. Natomiast źle wynagradzani robotnicy podatki płacą i płacą też po 200 dolarów za operację u prywatnego lekarza. Innych, wciągniętych w społeczną służbę zdrowia — lekarzy nie ma, bo nie ma społecznej służby zdrowia w Stanach Zjednoczonych. Aż się wierzyć nie chce. A jednak...

x.

Nie jest źle

Sądzę, że życie oświatowe i kulturalne w naszej gromadzie nie stoi na najniższym poziomie. Mam bowiem siedmioklasową szkołę podstawową, do której uczęszczają wszystkie dzieci będące w wieku szkolnym. Przy szkole istnieje także kurs Przeprosobienia Rolniczego, na który uczęszcza przeszło czterdziestu chłopców, nie dawno jeszcze biegających ciagle za gołębiami. Z początku trudno było namówić ich do nauki. Skoro jednak przekonali się, że nauka przyniesie im dużo więcej korzyści niż ich poprzednie zajęcia — zaczęli uczęszczać regularnie na kurs. Tu uczą się, jak uprawiać ziemię, jak obchodzić się z nowoczesnymi narzędziami gospodarskimi, jak powstała Polska współczesna i jak się obecnie rozwija. Oprócz tego nauczyciele prowadzą także kurs dla analfabetów. Kurs ten liczy kilkunastu

uczniów (przeważnie w wieku ok. 40 lat), którzy nie chodzą do szkoły w wieku szkolnym, bo nie było tam dla nich w międzywojennych latach miejsca. Jest też kilku osiemnasto- i dziewiętnastoletnich, którzy znów nie chodzą do szkoły dlatego, bo na służbie nie było na to czasu. Dziś wszyscy ci, dla których nie było miejsca w szkole i ci, którzy nie mieli na naukę czasu — uczą się z wielkim zapałem. Już po dwóch miesiącach nauki czytają dość płynnie, a gdy nauczyciel po skończonej lekcji wychodzi z klasy, proszą go często, aby jeszcze chwilę pozostał z nimi, bo chcą jeszcze daleć czytać. Ponadto w szkole odbywają się w każdą niedzielę tzw. wykłady powszechne. Prelegentami na wykładach są nauczyciele oraz członkowie organizacji politycznych i społecznych. Tematami wykładów są przeważnie wiadomości z historii ruchu chłopskiego i robotniczego oraz z zakresu wiedzy o Polsce współczesnej. Społeczno - oświatowy charakter mają również akademie.

Do bardzo poważnych osiągnięć kulturalnych naszej gromady należy niewątpliwie zaliczyć działalność amatorskiego kółka teatralnego. Do kółka tego — jak każdy się domyśli — należą młodzież miejscowa.

Kółko to dzięki wytrwałej i intensywniej pracy jego kierownika Warszawy Kazimierza, w którego mieszkaniu odbywają się wszystkie bez wyjątku próby oraz prace przy wykonywaniu dekoracji i kostiumów i dzięki niepomaganemu chęci młodych artystów — wystawilo w roku 1948 szesnaste sztukę, kilka monologów i dialogów. Powodzeniem cieszyły się szczególnie „Grube ryby” i „Zemsta”. Odczuwa się jednak brak aktualnego materiału dla wiejskich teatrów amatorskich. Ponadto kilka przedstawień odegrały dzieci szkolne i harcerze.

We wsi istnieje kóło „Czytelnika” mające dwudziestu kilku członków, którzy stanęli ostatnio do konkursu, polegającego na opracowaniu wybranych tematów. Obecnie opracowuje się temat „Co wiemy o powstaniu życia na ziemi”. O czytelnictwie pisałem w jednym z poprzednich nr. „Wsi”.

Gustaw Tomala.

Rzejowice, pow. Radomsko

Żądamy ostrej satyry politycznej

Obywatelu Redaktorze!

Jestem prenumeratorem Waszego pisma, czytam „Wies” uważnie i myślę, że właśnie „Wsi” mogą powierzyć swój żal. Żal do kogo?

W ostatnim, 75 numerze „Muchy” w rubryce, która odgrywa podobną rolę, jak „Camera obscura” w „Odrodzeniu”, znalazłem opatrzone „dowcipnym” komentarzem ogłoszenie jednej ze spółdzielni gminnych Samopomocy Chłopskiej, która poszukuje „buchaltera i księgowego od zaraz”. Dowcipniś, którego skusiło honorarium 260 zł, komentuje: „jeden zapewne będzie księgowal kartofle, a drugi (dla odmiany) ziemniaki”.

Jasne, że chodzi tu o buchaltera i kasjera. Jasne, że we wspomnianej spółdzielni brak sił wykwalifikowanych — ale ci, którzy teraz tam gospodarzą, zdają sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nich ciąży i dlatego poszukują odpowiednich sił pracowniczych. I jasne, że zawiła tu nieco redakcja (administracja „Ziemi Pomorskiej”), która przyjmując ogłoszenie, mogła przecież wygładzić stylistycznie tekst.

Ten niewinny ostatecznie, ale i nie bardzo smaczny żarcik „Muchy” pobudza do głębszych refleksji. Zadaje sobie pytanie: o ile nasze pisma satyryczne włączają się w toczącą się obecnie na wsi i w mieście walkę z wrogami klasowymi ludu? Wsi nie potrzeba osobnego pisma satyrycznego, ale niechże istniejące pisma satyryczne nie popełniają

błędów, niech wiedzą, kiedy i jak należy kogoś ukłuć. Żądamy ostrej satyry politycznej, chłoszczącej wrogów klasowych, a nie dowcipów typu „kalendarzowego”, tak nieraz przypominającego dawne wystąpienia poprzedników dzisiejszej satyry, występujących w służbie ziemiansko-klerykalnej. (Ośmieszanie gwary, rzekomego „nieuctwa” itp.).

Jeśli już idzie o tematykę chłopską, polecam „Musze” lekturę ostatniej strony „Chłopskiej Drogi” — poświęconej satyrze. Znalazłem tam można humor i zdrową myśl polityczną.

Nauczyciel i księgowy
Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej

W NUMERZE 12 (191) TYGODNIKA „WIES”
Z DNIA 20 MARCA 1949 R.

Hieronim Edward Michalski — O zjeździe Pisarzy Czechosłowackich; Jan Drda — Wolność Pisarzy; Loco Novemsky — Przemiany w literaturze słowackiej; Karol Keves — Co myślał Francuz o swojej ojczyźnie? (Ankieta „Wsi”); Tadeusz Orlewicz — Położenie materialne proletariatu angielskiego; Jan Baculewski — Inteligencja techniczna; Piotr Chmura — Etnografizm w Pamiętniku; Wojciech Breowicz — Pamiętnik; Julian Lewanowski — Metryka samotnych; Antoni Czechow — Niepokój publiczny — tłum. J. Pomianowski; Józef Bartek — Wyższa wiedza dla ludzi na prowincji; Piotr Pigwa — Oczekiwanie na książkę; M. K. — Nowy skład społeczny ZSCH; K. S. — Jakże są funkcje Państwa? Jerzy Cios — Konserwatywizm ideowy; Jerzy Pogan — Niechęć do proletariatu; Maciej Czula — Oświadczenie; Fakty i zdania; 29 ilustracji; 12 stron.